

Powiat



Nr 7-8 (125-126), Lipiec-Sierpień 2011
Rok XI * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI

Zawsze będą nas oceniać za to, co zrobiliśmy
Roztańczony Wiedeń nad modrym Dunajem
Papież czeka, by nas przytulić
Zrozumieć inność



Spostrzeżenia i refleksje subiektywne • Duch robociarski umarł • Kaszubski separatyzm
• Podróż • Zakochanie to stan dziwny i zagadkowy • Słonowice, bo... Słony • **Wieś Tworząca**





Droży Czytelnicy!

Kilkadziesiąt samorządów wiejskich województwa pomorskiego nie zorganizuje w tym roku tradycyjnej imprezy dożynkowej dla mieszkańców wsi. Powód? Jedni wymyślili inną formę świętowania, np. biesiadę czy imprezę zamkniętą, niektórzy mówią o kłopotach finansowych, a jeszcze innym nie pasują terminy. Jak do tej pory żadna z gmin powiatu słupskiego nie zrezygnowała z tej pięknej polskiej tradycji. Również powiat słupski przygotowuje to najważniejsze dla rolników święto.

W ostatnich latach zmienia się charakter polskiej wsi, w niektórych sołectwach nie ma już „prawdziwych” rolników, jednak w dalszym ciągu nasz powiat określany jest mianem rolniczego, gdyż połowę obszaru stanowią użytki rolne. Od kilku lat trwale w krajobraz wpisały się farmy wiatrowe wykorzystujące ten rodzaj energii. Na ich budowie zyskują nie tylko inwestorzy, ale także gminy i właściciele terenów, którzy wydzierżawiają je pod lokalizację siłowni. Z uwagi na walory przyrodniczo-krajobrazowe również w ostatnich latach intensywnie rozwija się turystyka. Gospodarka w Słupsku i regionie słupskim będzie szeroko omawiana i promowana na wrześniowych Słupskich Dniach Gospodarki.

Dwa najważniejsze wydarzenia o randze powiatowej wieńczące pomyślne zbiory zbóż i ziemniaków – Powiatowe Święto Plonów oraz Słupskie Pokopki są organizowane z myślą o ludziach związanych z rolnictwem. Co roku, we wrześniu, podczas dożynek wyróżniające się rodziny rolnicze nagradzamy statuetkami Bursztynowego Kłosa. Swoje nagrody i odznaczenia przyznaje też minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Każdego roku sołectwa zaskakują gości i komisję konkursową coraz ciekawszymi pomysłami na wieniec dożynkowy. Każdy to niepowtarzalne dzieło sztuki ludowej, wykonane z wielką precyzją. Ich ekspozycja na święcie plonów tworzy wyjątkową oprawę i podkreśla ludowy charakter tej imprezy.

W październiku będziemy obchodzić Powiatowe Święto Ziemniaka, organizowane od ośmiu lat na terenie stacji Doświadczalnej Oceny Odmian w Karzniczce. Głównym punktem imprezy jest nagrodzenie najlepszych producentów ziemniaków z powiatu statuetką Słupskiej Bursztynowej Bulwy. Organizowane są różne konkursy z ziemniakiem w roli głównej, jest on również najważniejszym składnikiem serwowanych podczas pokopiek potraw.

Dożynki i Pokopki są także niepowtarzalną okazją do skosztowania dań kuchni regionalnej. Smakołyki przygotowane przez panie z kół gospodyń wiejskich przyciągają coraz więcej mieszkańców miast i przebywających na naszym terenie turystów. Nigdzie indziej nie ma możliwości skosztowania tak dużej ilości potraw i wypieków przygotowanych z naturalnych produktów, bez użycia wszechobecnej chemii i konserwantów.

Sławomir Ziemianowicz
Starosta Słupski

„POWIAT SŁUPSKI” - Biuletyn Informacyjny

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Słupsku. Redaguje zespół: **Zbigniew Babiarz-Zych** (przewodniczący), **Maria Matuszewska** (z-ca przewodniczącego), **Artur Wróblewski**. Adres redakcji: Wydział Polityki Społecznej, Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 59 842 54 17, fax 59 842 71 11; e-mail: **zych@powiat.słupsk.pl**; Skład komputerowy i łamanie: **Artur Wróblewski**. Zdjęcia: **Jan Maziejuk**. Druk: OPTIMA s.c., ul. Orańska 6a, 81-533 Gdynia. Na okładkach: zaproszenie na dożynki powiatowe w Biesowicach; z wyprawy do Krojant.

Biuletyn rozsyłany jest do radnych, parlamentarzystów, sołtysów, jednostek OSP, szkół, domów kultury, jednostek organizacyjnych powiatu, firm biznesowych oraz urzędów miast i gmin. Zamieszczany jest również na stronie internetowej: www.powiat.słupsk.pl

W numerze:

Zawsze będą nas oceniać za to, co zrobiliśmy	4
Jak najmniej biurokracji - jak najwięcej skuteczności	4
Mimo wakacji Zarząd pracował normalnie	6
Pod pomnikiem Powstańców	7
Powstaje nowa strategia rozwoju	7
Mieszkańcy ich wybrali...	8
Ukrócić nieustający proces żądań	9
Ich prace dostarczają wzruszeń	10
Zrozumieć inność	10
Festyn w Machowinie	11
Roztańczony Wiedeń nad modrym Dunajem	12
Fotografowali się w jakimś celu	12
Wspólne przeżywanie świata	14
Jarmarkowa trzynastka	14
Papież czeka, by nas przytulić	16
Dopłynęli do Bałtyku	16
Maskotki odwiedziły Rowy	17
Miasteczko przygód	18
Spostrzeżenia i refleksje subiektywne	20
Otwarty poligon	21
Dziękujmy - to nie boli!	22
Duch robociarski umarł	23
Kaszubski separatyzm?	25
Podróż	26
Wieża Babel	29
Zakochanie to ciągle stan dziwny i zagadkowy	32
Flota wojenna Prus do 1867 roku	35
Sowieckie zdrady (1)	37
Słonowice, bo... Słony	40

Zawsze będą nas oceniać

*Jako samorząd zawsze będziemy oceniani za to, co zrobiliśmy
- czy są oczekiwane efekty i jest zadowolenie społeczne*

Na VIII sesji Rady Powiatu Słupskiego, 28 czerwca br. radni udzielili Zarządowi Powiatu absolutorium za wykonanie budżetu w 2010 roku. Sesja odbyła się w Centrum Edukacji Regionalnej w Warcinie. Radnych muzycznie powitał sygnalista z Zespołu Szkół Leśnych oraz Młodzieżowy Chór „Kantele” z I Liceum Ogólnokształcącego w Słupsku, który przebywał na obozie szkoleniowym w Warcinie.

Radny Marcin Białas złożył dwie pisemne interpelacje - dotyczyły spraw drogowych i ścieżki rowerowej. O odpowiedź poprosił również na piśmie. Paweł Lisowski - przewodniczący Rady Gminy Kępice zaproponował inny niż dotychczas podział wspólnego finansowania remontu dróg powiatowych. - Bo różny jest poziomem zażytości gmin - mówił.

Sprawozdanie z pracy Zarządu starosta Sławomir Ziemanowicz rozpoczął od przedstawienia przygotowanych piętnastu projektów uchwał Rady Powiatu. Dotyczyły one zmian w budżecie, przedłużenia powierzenia stanowiska dotychczasowym dyrektorom - Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej w Słupsku i Zespołu Szkół

Agrotechnicznych w Słupsku, ustalenia zasad płatności za wynajmowanie nieruchomości.

Starosta omówił realizację uchwał podjętych na ostatniej sesji, a także przedstawił szczegółowo prowadzone zadania inwestycyjne, głównie drogowe. Na koniec przedstawił kalendarium najważniejszych wydarzeń. Dłużej zatrzymał się na obchodach 10-lecia współpracy partnerskiej powiatu słupskiego z niemieckim powiatem Herzogtum Lauenburg. Odbyła się konferencja w starostwie, otwarto wystawę fotograficzną, wystąpił chór z Akademii Pomorskiej w Słupsku. Zorganizowano zwiedzanie starostwa, w tym wyremontowanego poddasza i wieży z zabytkowym zegarem. W Domu Pomocy Społecznej w Lubczewie wystąpili niemieccy i polscy artyści. W pięknej scenerii pałacowych ogrodów w Warcinie odbył się koncert sygnalistów z Zespołu Szkół Leśnych. Otwarto drugą część wystawy fotograficznej na temat prowadzonej współpracy. Wspólnie posadzono dąb 10-lecia.

Z wielu czerwcowych wydarzeń, starosta wymienił także Powiatowe Obchody



Dnia Działacza Kultury w Bierkowie. Odślonięto tablicę upamiętniającą artystyczną działalność Katarzyny Kaliszewskiej z Siemianic i rozdano „Białe Bociany 2011 za twórczość artystyczną i upowszechnianie kultury.

Radni przegłosowali piętnaście uchwał, w tym sprawozdanie z wykonania

Jak najmniej biurokracji – jak na

Lipcowy Konwent Samorządowców Powiatu Słupskiego zdominowały sprawy leśne



Na spotkaniu w Centrum Edukacji Regionalnej w Warcinie obecni byli nadleśniczowie wszystkich nadleśnictw znajdujących się w powiecie słupskim ze Sławomirem Cichonem - dyrektorem Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Szczecinku. Wprowadzając samorządowców w tematykę leśną, gospodarz terenu - Sławomir Piątkowski - nadleśniczy Nadleśnictwa Warcino przedstawił Leśny Kompleks Promocyjny „Lasy Warcińsko-Polanowskie”. W drugiej części informację tę uzupełnił nadleśniczy z Polanowa - Jacek Todys, a Sławomir Cichoń omówił współpracę Regionalnej Dyrekcji i Nadleśnictw z samorządami gminnymi i starostwem.

- Mamy różne sektory współdziałania. Jednym z nich jest gospodarowanie mieniem czy opiniowanie wniosków. I czasami dokumentacja niepotrzebnie krąży między nami. Bardzo chciałbym, aby jak najmniej było biurokracji, żeby skuteczność

Fot. M. Matuszewska

z obrad sesji rady powiatu

konwent samorządowców powiatu słupskiego

iać za to, co zrobiliśmy

budżetu w 2010 roku. Starosta powiedział na zakończenie swojego wystąpienia: - Jako samorząd zawsze będziemy oceniani za to, co zrobiliśmy - czy są oczekiwane efek-



Fot. M. Matuszewska

ty i jest zadowolenie społeczne. Niezależnie od tego, ile uda się zrobić, zawsze będą słowa krytyki, że za mało, za wolno... Oceniając ubiegły rok, sądzę, że wykorzystaliśmy wszystkie możliwości. Udało się pozyskać pieniądze na drogi, potrzeby społeczne, potroić budżet Powiatowego Urzędu Pracy. Co prawda te ostatnie pieniądze nie

znajdują się w budżecie powiatu. Mam nadzieję, że analizując ubiegłoroczny budżet dostrzeżecie Państwo wszystko, co udało się zrobić Zarządowi w 2010 roku.

Uzyskanie dodatkowych środków z PFRON w wysokości 253.420 zł było powodem zmieniania uchwały Rady Powiatu Słupskiego Nr V/38/2011 z 29 marca br. w sprawie określenia zadań, na które przeznaczają się środki z tego funduszu. Zwiększono wysokość środków dla Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie na dofinansowanie uczestnictwa osób niepełnosprawnych i ich opiekunów w turnusach rehabilitacyjnych, dofinansowanie zaopatrzenia w sprzęt rehabilitacyjny, przedmioty ortopedyczne i środki pomocnicze, likwidacji barier architektonicznych w komunikowaniu się i technicznych.

Rada Powiatu podjęła też uchwały w sprawie: zatwierdzenia sprawozdania finansowego Powiatowego Obwodu Lecznictwa Ogólnego S.P.Z.O.Z. w Słupsku i Centrum Edukacji Regionalne w Warcinie za 2010 rok; wyrażenia opinii do projektu uchwały Sejmiku Województwa Zachodniopomorskiego w sprawie likwidacji Portowego Samodzielnego Publicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej przy ul. Energetyków 2 w Szczecinie; powierzenia gminie Smołdzino zadania powiatu z zakresu edukacji publicznej dotyczącego prowadzenia

sezonowych szkolnych schronisk młodzieżowych w Gardnie Wielkiej i Smołdzinie; wysokości opłat za usunięcie i przechowywanie pojazdu usuniętego z drogi oraz wysokości kosztów powstałych w razie odstąpienia od usunięcia pojazdu.

Upoważniła Zarząd Powiatu do złożenia do Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej wniosków dotyczących dofinansowania termomodernizacji budynków użyteczności publicznej w ramach Programu Priorytetowego NFOŚiGW pn. „System zielonych inwestycji” (GIS-Green Investment Scheme) Część 1) Zarządzanie energią w budynkach użyteczności publicznej.

Zatwierdzono do realizacji projekt pn. „Wyższe kwalifikacje zawodowe - większe możliwości na rynku pracy”, zmieniono uchwałę Nr VII/56/2011 z 31 maja br. w sprawie umowy pomiędzy powiatem słupskim a gminą Dębica Kaszubska o przebudowie drogi powiatowej nr 1136G.

Rada podjęła też uchwały w sprawie wystąpienia powiatu słupskiego ze Związku Celowego Powiatów Lęborskiego i Słupskiego, zmian w wieloletniej prognozie finansowej na lata 2011-2020 i zmian w budżecie na 2011 rok.

Maria Matuszewska

Kierownik Oddziału Promocji i Współpracy w Starostwie Powiatowym w Słupsku

ajwięcej skuteczności

naszych wspólnych działań była większa. By gminy i leśnicy byli zadowoleni ze swojej pracy, byli pewni, że działają zgodnie z prawem dla dobra mieszkańców - powiedział Sławomir Cichoń.

- Bieżący rok został ogłoszony przez Organizację Narodów Zjednoczonych „Rokiem Lasu”. Podkreślając rangę tego wydarzenia zaplanowaliśmy cykl spotkań z samorządami, a dzisiejsze jest pierwszym z nich. Ponadto w tym roku zdecydowałem, że będziemy wspierać państwowe i ochotnicze straże pożarne. Każde nadleśnictwo otrzyma środki z przeznaczeniem na takie wsparcie. Priorytetem są straże pożarne, bowiem współpraca między leśnikami a strażą jest nierozdzielna. To one chronią lasy i dobytek na terenie każdej gminy i każdego powiatu - podsumował dyrektor S. Cichoń.

Piotr Mazur - prezes Zarządu Zakładu Usług Wodnych mówił o współdziałaniu w zakresie budowy i eksploatacji systemu

wodno-kanalizacyjnego z gminami i regionalną administracją Lasów Państwowych.

Ośrodek Rehabilitacji Dzikich Zwierząt był kolejnym, omawianym tematem. - Największym problemem jest miejsce, gdzie można by stworzyć taki ośrodek. Jego powstanie jest potrzebne, tylko należy opracować system wspólnego finansowania. Każdy, kto by korzystał z jego pomocy, byłby zobowiązany do płacenia określonej stawki. Potrzebne jest też takie umiejscowienie ośrodka, aby było do niego jak najbliżej z każdej gminy. Mamy obietnicę wsparcia z Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska oraz urzędu wojewódzkiego, więc będziemy szukać dobrej lokalizacji - powiedział starosta słupski Sławomir Ziemiannowicz.

Prof. Zbigniew Nowicki - wojewódzki konsultant w dziedzinie psychiatrii przedstawił założenia Narodowego Programu Ochrony Zdrowia Psychicznego i programu

„Zdrowie dla Pomorzan”. Część zadań wynikająca z narodowego programu będzie spoczywała na samorządach, dlatego ten temat znalazł się na lipcowym konwencie. Jednym z zadań jest utworzenie w każdym powiecie Centrum Zdrowia Psychicznego. Koncepcję utworzenia takiego centrum dla Słupska i powiatu słupskiego omówiła Joanna Kasperek - zastępca dyrektora ds. leczenia Samodzielnego Publicznego Specjalistycznego Psychiatrycznego Zakładu Opieki Zdrowotnej w Słupsku. Zaproponowała, aby takie centrum, skupiające wszystkie poradnie, szpital i ośrodek rehabilitacji, utworzyć w miejscu obecnego szpitala przy ulicy Obrońców Wybrzeża.

Tadeusz Wardziak - zastępca dyrektora ds. marketingu Centrum Zdrowia Salus w Słupsku proponował samorządcom współpracę w zakresie dowozu mieszkańców powiatu słupskiego na bezpłatne badania profilaktyczne realizowane przez Salus. Namawiał włodarzy gmin, by jak najwięcej mieszkańców wsi mogło skorzystać z tych badań.

Maria Matuszewska

Kierownik Oddziału Promocji i Współpracy w Starostwie Powiatowym w Słupsku



W okresie wakacyjnym Zarząd Powiatu Słupskiego opracował i przedłożył komisjom dwanaście projektów uchwał rady powiatu. Podjął też dwadzieścia trzy uchwały własne

Mimo wakacji Zarząd pracował normalnie

Fot. J. Maziejuk

jącej wysokie wyniki sportowe we współzawodnictwie międzynarodowym lub krajowym. Komisja ta rozpatrzyła już i zaopiniowała 12 wniosków, wszystkie w kategorii „Talent” (stypendia o charakterze socjalnym przyznawane młodzieży wybitnie uzdolnionej sportowo, a potrzebującej wsparcia materialnego).

Czterema uchwałami wprowadzono zmiany w budżecie powiatu. Polegały one głównie na przeniesieniu wydatków między paragrafami oraz przeniesieniach planowanych wydatków przez kierowników jednostek organizacyjnych. O kwotę 81.590 zł zwiększył się budżet z tytułu otrzymanej dotacji na realizację zadań z zakresu pomocy społecznej (60.390 zł) i na bieżącą działalność Powiatowego Inspektoratu Nadzoru Budowlanego (21.200 zł). Dyrektorom jednostkom organizacyjnym powiatu przekazano uprawnienia do zaciągania zobowiązań związanych z realizacją zamieszczonych w prognozie finansowej przedsięwzięć oraz zobowiązań z tytułu umów, których realizacja w roku budżetowym, i w latach następnych jest niezbędna do zapewnienia ciągłości działania jednostek. Zgodzono się na wydzierżawienie na okres do trzech miesięcy w trybie bezprzetargowym parteru budynku (97,61 m²) przy ulicy Marynarki Polskiej 12 c w Ustce.

Zarząd Powiatu wydał pozytywną opinię o pozbawieniu statusu drogi powiatowej części drogi Motarzyno-Kołczygłowy i zaliczenia jej do kategorii dróg gminnych, a także o zaliczeniu dróg powiatowych w Korzybiu do kategorii dróg gminnych. Łukaszowi Stanisławskiemu, pełniącemu funkcję koordynatora projektu Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii w Ustce udzielono pełnomocnictwa do składania oświadczeń woli w imieniu Ośrodka, związanego z realizacją projektu pn. „MOS-T w przyszłość. Wypracowanie nowych form aktywizacji zawodowej dla wychowanków Młodzieżowych Ośrodków Socjoterapii”.

Zarząd Powiatu powołał komisję do przeprowadzenia egzaminów na stopień awansu zawodowego nauczyciela mianowanego. Do egzaminu tego w tym roku zgłosiło się ośmiu nauczycieli. Powołał też komisję do rozpatrywania wniosków o przyznanie stypendium Starosty Słupskiego za wyniki w nauce i za osiągnięcia w nauce, zatwierdził wytyczne do opracowania materiałów planistycznych do projektu uchwały budżetowej na rok 2012 oraz wytyczne do opracowania wieloletniej prognozy finansowej na lata 2012 - 2015.

Pani Jolancie Kamińskiej udzielono pełnomocnictwa do dokonywania czynności prawnych związanych z kierowaniem bieżącą działalnością Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej w Słupsku. Takiego samego pełnomocnictwa udzielono też Pani Mariannie Matias w związku z kierowaniem działalnością Zespołu Szkół Agrotechnicznych w Słupsku. **(G.S.)**

Przygotowane projekty uchwał rady powiatu dotyczyły: przekazania dotacji celowej miastu Słupsk z przeznaczeniem dla Komendy Miejskiej Państwowej Straży Pożarnej na realizację zadań związanych z organizacją Powiatowych Zowadów Sportowo-Pożarniczych; udzielenia pomocy finansowej powiatowi bytowskiemu na częściowe dofinansowanie kosztów odbudowy budynku szpitala w Miastku (zniszczonego podczas pożaru); udzielenia pomocy finansowej gminie Bytów na wdrażanie Lokalnej Strategii Rozwoju Dorzecza Słupi; przekazania środków finansowych na Wojewódzki Fundusz Wsparcia Państwowej Straży Pożarnej na dofinansowanie zakupu dwóch samochodów pożarniczych dla Komendy Miejskiej w Słupsku, a także ustalenia szczegółowych warunków korzystania z nieruchomości oddanych w trwały zarząd jednostkom organizacyjnym powiatu; umowy z gminą Głównyca dotyczącej przebudowy dróg powiatowych w Głównycach i umowy z gminą Słupsk dotyczącej udzielenia tej gminie pomocy finansowej na wykonanie ścieżki rowerowej wzdłuż drogi powiatowej od Bierkowa do granic miasta Słupska.

Dwa projekty dotyczyły uchylecia wcześniejszych uchwał - nr VIII/354/2010 z 28 września 2010 roku w sprawie umowy z gminą Smołdzino dotyczącej przebudowy drogi powiatowej Smołdzino-Kluki oraz drogi powiatowej w miejscowości Żelazo i nr VIII/71/2011 z 28 czerwca br. w sprawie zaciągnięcia pożyczki ze środków Narodo-

wego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej na termomodernizację budynków użyteczności publicznej.

Przygotowano też projekty uchwał - w sprawie zmian w wieloletniej prognozie finansowej na lata 2011 - 2020, zmian w budżecie powiatu na 2011 rok i zmiany uchwały nr VIII/69/2011 z 28 czerwca br. w sprawie wysokości opłat za usunięcie i przechowywanie pojazdu usuniętego z drogi oraz wysokość kosztów powstałych w razie odstąpienia od usunięcia pojazdu.

Uchwały podjęte przez Zarząd Powiatu dotyczyły m.in. wypowiedzenia członkostwa w Związku Celowym Powiatów Łębskiego i Słupskiego Województwa Pomorskiego, upoważnienia starosty i wicestarosty do podpisania umowy kredytu złotowego w Banku Spółdzielczym na pokrycie występującego przejściowego deficytu w budżecie powiatu, zatwierdzenia przystąpienia do realizacji projektu konkursowego pn. „Rękodzieło sposobem na przełamanie barier” opracowanego przez Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie w Słupsku. Celem tego projektu jest podniesienie kompetencji społecznych i zawodowych dwadzieścia osób niepełnosprawnych z gmin: Damnica, Dębica Kaszubska, Kępice, Głównyca, Potęgowo, Smołdzino oraz przygotowanie ich do wejścia lub powrotu na rynek pracy.

Odrębnymi uchwałami powołano komisję ds. przyznania stypendiów dla dzieci i młodzieży uzdolnionej sportowo i osiąga-

Pod pomnikiem Powstańców

Powstanie wybuchło 1 sierpnia 1944 roku. Celem bohaterskiego zrywu była próba pokonania okupanta i ratowania powojennej suwerenności Polski

1 sierpnia br. obchodzono w Słupsku rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego. Uroczystość, podobnie jak w poprzednich latach, odbyła się przed pomnikiem Powstańców Warszawy - najstarszym monumentem upamiętniającym to wydarzenie w Polsce.

Pamięć o bohaterach tamtych dni uczcili: starosta słupski Sławomir Ziemiałowicz, wiceprezydenci Słupska - Krzysztof Sikorski oraz Andrzej Kaczmarczyk, przedstawiciele władz państwowych, samorządowych, parlamentarzysty, kombatancki, wojsko, policja, harcerze, młodzież szkolna, organizacje społeczno-polityczne, oraz mieszkańcy miasta.

Obchody rozpoczęły się od wystawienia pocztów sztandarowych, następnie odprawiono uroczystą mszę świętą. O godzinie 17.00 zabrzmiał dźwięk syren alarmowych.

Na zakończenie uroczystości oficjalne delegacje oraz kompania honorowa złożyły wieńce i wiązanki kwiatów.

Jak wiadomo, Powstanie zostało krwawo stłumione przez Niemców, a liczbę ofiar szacuje się na około 200 tysięcy. Po wojnie wielu powstańców zamieszkało w Słupsku, do dzisiaj mieszka zaledwie kilku naocznych świadków tamtych tragicznych wydarzeń. **(M.M.)**



Fot. J. Maziejuk

Powstaje nowa strategia rozwoju

Rozpoczęły się prace nad nową strategią rozwoju powiatu słupskiego na lata 2012 - 2022

29 czerwca br. w słupskim starostwie zorganizowano debatę poświęconą przygotowaniu nowej strategii. Omawiano na niej bieżącą sytuację społeczno-gospodarczą powiatu, kwestie ekonomii społecznej, ochrony środowiska naturalnego, opieki medycznej i ochrony zdrowia.

Do debaty zaproszono przedstawicieli instytucji znających potrzeby i problemy powiatu, powiatowej administracji zespolonej, przedstawicieli gmin, oświaty, organizacji kulturalnych i sportowych, służb porządkowych, ratowniczych, jednostek pomocy społecznej, organizacji pozarządowych.

Debata zakończyła się krótkim podsumowaniem poprzedzonym wypowiedziami uczestników, którzy wskazywali, jakie problemy powinny zostać uwzględnione w nowej strategii. **(D.S.)**

Mieszkańcy ich wybrali...

IRENEUSZ BEJNAROWICZ



Fot. Archiwum

Pochodzę... z Dębnicy Kaszubskiej.

Wiek... 27 lat.

Wykształcenie... wyższe uniwersyteckie w zakresie zarządzania.

Pracuję w... Fabryce Cukierniczej Kopernik - Toruń.

Moja rodzina... i tu mogę się pochwalić - mam naprawdę wspaniałą

rodzinę, na której mogę zawsze polegać i odwrotnie. Niewątpliwie największym wzorem do naśladowania w moim życiu jest mój ojciec, przyjaciel zarazem, który ma duży sukces w moim wychowaniu. Sam własnej rodziny jeszcze nie założyłem, ale staram się...

Z samorządem jestem związany od... tak naprawdę to jest to dopiero początek mojej przygody.

Zostałem radnym, bo... uważam, że w samorządzie potrzebne jest świeże spojrzenie na problemy naszego powiatu.

Realizuję się w pracach komisji... Budżetu i Finansów oraz Rozwoju Powiatu, jestem także wiceprzewodniczącym Komisji Rolnictwa, Środowiska i Bezpieczeństwa Publicznego.

Dobry samorządowiec to... osoba, która potrafi słuchać ludzi. Tę umiejętność uważam za najważniejszą, bo to niezwykle trudne. Wymaga otwarcia na drugą osobę, przyjęcie jej poglądów, emocji, uczuć, a także chwilowego odłożenia swoich racji na bok.

Do tego wszystkiego potrzebny jest szacunek dla rozmówcy oraz głębokie poczucie własnej wartości. Szanuję ludzi, którzy potrafią słuchać i pomagać innym.

Atutem powiatu słupskiego jest... piękne i malownicze położenie blisko morza, dzięki czemu mamy latem dużo turystów. Jeśli do tego dodamy uroczę jeziora, rzeki, ruchome wydmy, interesujące miejsca i zabytki kultury materialnej znajdujące się na naszym terenie, to ziemia słupska wyróżnia się spośród innych regionów.

Gościom najczęściej pokazuję... magiczne miejsce, jakim jest gmina Dębica Kaszubska, a także Czołpino.

W ludziach cenię... życzliwość dla innych, umiejętność zauważania drugiej osoby i jej problemów. Szanuję osoby pracowite, konsekwentne oraz kreatywne.

Najbardziej nie lubię... głupiej, zażartej rywalizacji. Nie chodzi mi oczywiście o taką zdrową, pozytywną rywalizację, ale o chorą, bezwzględną, niszczącą.

Moja największa zaleta i wada... jestem zodiakalnym baranem, więc czasami jestem zbyt uparty. O zaletach ciężko mówić, ale pewnie kilka ich mam, a jedną z nich jest pracowitość.

Ulubione miejsce na wypoczek... poza swoim domem, najchętniej przebywam w górach. Tam fantastycznie się wyciszam i relaksuję.

Mój największy sukces... to, że udało mi się przekonać ludzi, aby zaryzykowali i postawili w wyborach samorządowych na osobę młodą, która nie boi się ciężkiej pracy, a przede wszystkim wkłada serce w to co robi. To pozwoliło mi wygrać ubiegłoroczne wybory. Nie ukrywam, że było czasami bardzo ciężko, ale udało się. Mam nadzieję i będę bardzo się starał, by daną szansę dobrze wykorzystać i nikogo nie zawieść.

Największe marzenie... jest ich dużo - generalnie jestem marzycielem.

Motto życiowe... traktuj innych tak, jak sam chcesz być traktowany.

MARCIN BIAŁAS



Fot. J. Maziejuk

Pochodzę... z Włynkówka i mieszkam tam cały czas.

Wiek... w tym roku skończyłem 30 lat.

Wykształcenie... wyższe, pierwsze studia magisterskie w zakresie współczesnych stosunków międzynarodowych, drugie to filologia angielska w Koszalinie. Obecnie chcę rozpocząć trzecie w Akademii Marynarki Wojennej, na kierunku zarządzanie kryzysowe. Dokumenty wysłałem parę dni temu i mam nadzieję, że od października zacznę naukę.

Pracuję... w Powiatowym Urzędzie Pracy w bardzo interesującym dziale - Instrumentów Rynku Pracy. Spotka-

łem tam fantastyczne osoby, więc jestem usatysfakcjonowany podwójnie.

Moja rodzina... na razie nie założyłem własnej, rodzice są dla mnie najbliższą rodziną.

Z samorządem jestem związany od... roku 2006, kiedy po raz pierwszy wybrano mnie na radnego. Obecnie jestem w radzie drugą kadencję. W poprzedniej pełniłem funkcję wiceprzewodniczącego Rady Powiatu.

Zostałem radnym, bo... mam charakter ekstrawertyka. Najbardziej lubię być w środku jakichś wydarzeń, gdzie coś się dzieje, a dodatkowo można komuś pomóc. Chęć współpracy z ludźmi sprawiła, że zająłem się pracą samorządową.

Realizuję się w pracach komisji... jestem przewodniczącym Komisji Rolnictwa, Środowiska i Bezpieczeństwa Publicznego, po raz pierwszy pracuję w Komisji Polityki Społecznej.

Dobry samorządowiec to... taki, który jest otwarty na ludzi. Przede wszystkim umie ich słuchać i w miarę swoich możliwości doradzić im czy pomóc w zakresie działalności samorządowej.

Atutem powiatu słupskiego jest... są tereny historyczno-przyrodnicze. Najlepiej te wartości pokazuje pałac w Warcinie, który wiąże przyrodę - urocze lasy i ogrody - z historią pałacu Bismarcka, gdzie można natrafić na

ślady jego bytności. Powiat słupski to także Kraina w Kratę z fantastycznymi wioskami o zabudowie szachulcowej. Na uwagę zasługuje Swołowo i Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach. Naszymi perełkami, choć bardzo zaniebieranymi, są pałace z zespołami parkowymi, których na terenie powiatu znajduje się kilkadziesiąt.

Gościom najczęściej pokazuję... ostatnio największe wrażenie na ludziach robi Dolina Charlotty, więc zapewne tam bym ich zawiózł. Również wspomniane wcześniej Swołowo i Kluki zaliczam do atrakcji, które koniecznie trzeba zobaczyć. Z kilkudziesięciu kościółków znajdujących się na terenie powiatu, pokazuję te najatrakcyjniejsze - średniowieczne i gotyckie, oraz te, w których znajdują się cenne historycznie dzieła sztuki.

W ludziach cenię... szczerłość. Sam stosuję tę zasadę i tego oczekuję od innych. Wszystkie związki i współpraca oparte powinny być na zaufaniu.

Najbardziej nie lubię... obłądy. Spotkałem już wiele osób, które są mistrzami w kamuflowaniu swoich myśli, ale mam nadzieję, że sam nigdy nie będę musiał stosować tego typu mechanizmów obronnych.

Moja największa zaleta i wada... otwartość na ludzi. Moje mocne strony to chęć pracy nad samym sobą, nastawienie na rozwój i pomoc lu-

dziom. Staram się być otwarty na sugestie, co nie zawsze było dla mnie łatwe. Umiejętność słuchania należy do wad, nad którą pracuję najbardziej i mam wrażenie, że praca w samorządzie nauczyła mnie właśnie słuchania innych.

Ulubione miejsce na wypoczek... najchętniej dom. Czasami robię krótkie wypadki w pasie Morza Bałtyckiego, bywam na Jarmarku Dominikańskim w Gdańsku, który ma swój niepowtarzalny urok i klimat. Morze mnie uspokaja i ma tę siłę, która rozładowuje wszystkie napięcia.

Mój największy sukces... dla mnie największym sukcesem do tej pory było otrzymanie mandatu radnego w poprzedniej kadencji i reelekcja w obecnej. To potwierdziło, że w poprzedniej wybór ten nie był przypadkowy, a ludzie głosowali na mnie świadomie i chcą, bym reprezentował ich w obecnej kadencji.

Największe marzenie... zdobyć wymarzoną pracę związaną ze służbami mundurowymi i poukładać sobie życie osobiste - stworzyć ciepły i udany związek.

Motto życiowe... Dla mnie jest to motto szkoły oficerskiej we Wrocławiu, do której chciałbym się dostać - Per aspera ad astra - „Przez cierpienie do gwiazd”.

Zanotowała: Maria Matuszewska

W spotkaniu, 24 czerwca br. uczestniczyli: Kazimierz Plocke - wiceminister rolnictwa i rozwoju wsi, starosta Sławomir Ziemanowicz, przedstawiciele firm, które zainwestowały albo przygotowują się do budowy farm wiatrowych w powiecie słupskim, Krzysztof Wysocki - zastępca wójta gminy Ustka.

Inwestorzy z japońskiej firmy Green Power Polska docelowo planują wybudować farmę wiatrową o mocy 240 MW. W pierwszej fazie będzie to ok. 66 obiektów - 160 MW w rejonie gminy Ustka. Prace zamierzają rozpocząć jesienią br. Podpisali już umowę na dostawę turbin z Siemensem i z lokalnymi przedsiębiorstwami na roboty elektryczne i ziemne. Inwestycję współfinansuje Europejski Bank Inwestycyjny. W ubiegłym roku podpisali umowę przyłączeniową z Polskimi Sieciami Elektroenergetycznymi, sporo już zainwestowali i nie chcieliby, aby rozpoczęcie robót się opóźniało z jakichś powodów.

- Nie ukrywam, że mieliśmy problem z zapewnieniem naszej inwestycji przyłącza do systemu energetycznego. Sami musieliśmy wykonać wszystkie prace za operatora sieci, aby farma po zakończeniu budowy mogła być do niej włączona - wyjaśnił Masaaki Matsuoka, członek zarządu japońskiej spółki Green Power.

Przedstawiciele inwestorów chwalili współpracę z władzami gmin i powiatu słupskiego, a żalili się na problemy z właścicielami gruntów, które sąsiadują z miejscami, gdzie mają być zlokalizowane siłownie wiatrowe. Większość popiera inwestycje, ale niektórzy, choć wcześniej były prowadzone negocjacje, podwyższają stawki i trwa nieustający proces żądań. Mogą nawet dziesięć lat od momentu uzyskania prawomocnego postanowienia na budowę farmy wiatrowej je zaskarżać i domagać się świadczeń finansowych.

- Jeśli Polska ma osiągnąć pułap 20 procent udziału zielonej energii w całkowitej produkcji energii w kraju do roku 2020 (czego wymaga Unia Europejska), należy zmienić prawo, czyli wprowadzić specjalną ustawę. Sytuacja robi się na tyle kłopotliwa, że bez wsparcia rządu mo-

Ukrócić nieustający proces żądań

Na spotkaniu poświęconym siłowniom wiatrowym zaproponowano opracowanie specjalnej ustawy związanej z realizacją takich inwestycji w Polsce



że się nie udać osiągnąć wymaganego pułapu zielonej energii i budżet państwa zostanie obciążony dużymi kwotami za niezrealizowanie zobowiązań unijnych. Niemcy, którzy zdecydowali się na zamknięcie elektrowni atomowych, zamierzają jeszcze bardziej intensywnie niż do tej pory inwestować w siłownie wiatrowe i przyspieszają proces inwestycyjny. U nas również powinny być stworzone rozwiązania, by przedsiębiorcy mogli szybko działać. Inaczej się zniechęcą i zrobią to w innych krajach - przestrzegał Józef Bogusz, prezes firmy z Zajączkowa, na polach którego zlokalizowano już kilkanaście siłowni wiatrowych.

Wiceminister Kazimierz Plocke przyjął wszystkie postulaty ze zrozumieniem. Zobowiązał się do zorganizowania spotkania

przedstawicieli samorządów z ministrem środowiska, by i jemu zreferowali problem. Prosił o przygotowanie zespołu, który przedstawi sposoby usunięcia barier.

Starosta Sławomir Ziemanowicz przypomniał, że w powiecie słupskim działa Stowarzyszenie Gmin Przyjaznych Energii Odnawialnej. - Wspólnie możemy odpowiedzieć, jak prawo powinno się zmienić. Ważne jest, by zablokować dotychczasowe możliwości odwoławcze. Jeśli zatwierdzony został plan zagospodarowania przestrzennego i przeszedł on proces postępowania środowiskowego, lokalizacje powinny być dla inwestora już pewne, a dzisiaj tak nie jest - mówił starosta.

Maria Matuszewska
Kierownik Oddziału Promocji i Współpracy
w Starostwie Powiatowym w Słupsku

W Filii nr 8 Miejskiej Biblioteki Publicznej w Słupsku przy ulicy Braci Gierzyńskich 1 została udostępniona wystawa twórczości podopiecznych Warsztatu Terapii Zajęciowej Polskiego Związku Niewidomych. Jest to już dziesiąta odsłona ekspozycji pt. „Ich prace”

Ich prace dostar



Fot. Archiwum

W każdej instytucji czy organizacji pozarządowej działają, na określonych po-

lach, bardziej lub mniej zaangażowani ludzie. Dynamizują wspólne działania, czy-

Zrozumieć inność

Po raz kolejny ulicami Słupska przeszedł Marsz Godności



Fot. J. Maziejuk

Dla każdego człowieka poczucie godności jest naturalną potrzebą. Brak tej świadomości rodzi w człowieku bezsilność, która doprowadza do izolacji, w konsekwencji przeradzając się w ból. Nie każdy potrafi walczyć o swoje prawa. Dla osób niepełnosprawnych kwestia godności jest szczególnie ważna. Niepełnosprawni chcą się uczyć, tworzyć, pracować, czuć się potrzebni.

W spojrzeniu na ludzką niepełnosprawność zachodzi pewna zmiana, która zaczyna coraz aktywniej przenikać do

świadomości społecznej. Należy przy tym pamiętać, że osoby niepełnosprawne muszą być traktowane podmiotowo, nie zaś jak przedmiot działań ludzi zdrowych, z różnorodnych organizacji i stowarzyszeń. Bariery architektoniczne, czy problemy ze znalezieniem

pracy przez niepełnosprawnych to sprawy, na które organizatorzy marszu chcieli zwrócić szczególną uwagę.

Uczestnicy przeszli z placu Zwycięstwa do Parku Kultury i Wypoczynku w Słupsku, gdzie zorganizowano imprezę integracyjną. W jej programie znalazły się m.in.: pokazy sprzętu dla osób niepełnosprawnych, tresura psów, gry i zabawy dla uczestników oraz występy artystyczne. Łagodne psy - Breta, Leo i Fabio, chętnie prezentowały swoje umiejętności u boku

opiekunki Magdaleny Delikat. Pies, który przygotowywany jest do roli przewodnika, powinien posiadać odpowiednie predyspozycje psychiczne oraz spełniać wymagane kryteria rasowe - wyraził swoją opinię jeden z uczestników. Dla osoby niewidomej pies stanowi cenną pomoc rehabilitacyjną. Pozwala jej na bezpieczniejsze i szybsze tempo przemieszczania się w terenie. Ale nie tylko pies jest dla osoby niewidomej przewodnikiem po świe-



Fot. J. Maziejuk

„Czają” wzruszeń

niąc je bardziej satysfakcjonującymi. Taką osobą jest m.in. Maria Chamier-Gliszczyńska, która zapoczątkowała współpracę z osobami niepełnosprawnymi w MBP poprzez organizację wystaw Warsztatów Terapii Zajęciowej Polskiego Związku Niewidomych, spotkania z twórcami niewidomych i słabowidzącymi.

Ponadto M. Chamier-Gliszczyńska zainteresowała osoby niewidome nowoczesną technologią, organizując pokazy sprzętu rehabilitacyjnego oraz realizując projekt popularyzujący „czytaki”. Od września w MBP rozpoczynają spotkania z lektorami „książki mówionej”. Za swoją pracę na rzecz osób niepełnosprawnych otrzymała szereg wyróżnień i podziękowań: w 2010 roku dyplom-podziękowanie od Polskiego Związku Niewidomych w Słupsku; w 2011 - odznaczenie „Przyjaciel Osoby Niepełnosprawnej”, przyznane przez Prezydenta Miasta; statuetkę CER-

TUS AMICUS przyznaną przez Warsztat Terapii Zajęciowej w Słupsku; Nagrodę III stopnia Prezydenta Miasta Słupska.

Na jubileuszowym spotkaniu w bibliotece wyróżniono również dyrektora Warsztatów Terapii Zajęciowej, Wiesława Szeląga. W imieniu prezydenta Słupska Macieja Kobylińskiego, Beata Kątnik wręczyła dyrektorowi oficjalne podziękowanie za dotychczasową pracę na rzecz osób niepełnosprawnych. Takie podziękowanie W. Szeląg otrzymał również od starosty słupskiego Sławomira Ziemianowicza, którego reprezentował Zbigniew Babiarz-Zych, naczelnik Wydziału Polityki Społecznej Starostwa Powiatowego w Słupsku. Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich za długoletnią współpracę z WTZ oraz za działalność na rzecz biblioteki, uhonoroowało W. Szeląga medalem.

Pracownicy Filii nr 8 w podziękowaniu za działalność na rzecz osób niepełno-



sprawnych otrzymali odznakę przyznaną przez prezydenta Słupska - „Przyjaciel Osoby Niepełnosprawnej”.

Symboliczną wstęgę otwierającą wystawę przecięł m.in. Dariusz Majorek, dyrektor Pomorskiego Oddziału PFRON w Gdańsku.

Danuta Sroka, Słupsk

cie widzialnym. Jest nim również literatura, muzyka, wszelka informacja słyszalna i wyczuwalna. Na stoisku zorganizowanym przez Miejską Bibliotekę Publiczną prezentowano książki dla osób niewidomych i słabo widzących. Agnieszka Orzech - osoba niewidoma, aktywnie działająca w Warsztatach Terapii Zajęciowej Polskiego Związku Niewidomych w Słupsku - prezentowała brajlowską maszynę do pisanja oraz lalkę Zuzię z wbudowanym syntetyzatorem mowy. Maria Chamier-Gliszczyńska, starszy kustosz Miejskiej Biblioteki Publicznej, spiritus movens projektu „Nowoczesne czytelnictwo osób niewidomych”, upowszechniała informację na temat „czytaków” (specjalnych odtwarzaczy MP3 przeznaczonych dla osób niewidomych, które w ramach projektu zostały zakupione przez bibliotekę).

Marsz godności i festyn integracyjny to nie tylko uwrażliwianie innych, to też chwila zabawy i radości dla samych uczestników. Budowanie więzi z osobami niepełnosprawnymi jest niezwykle ważne, bowiem poprzez takie działania człowiek zdrowy może zrozumieć inność.

Danuta Sroka, Słupsk



„Śpiewać każdy może” - pod takim hasłem odbył się w Domu Pomocy Społecznej w Machowinie XV Festyn Sportowy Osób Niepełnosprawnych

Festyn w Machowinie

W festynie uczestniczyli mieszkańcy ośmiu domów pomocy społecznej: w Machowinku, Lęborku (nr 1), Lubuczewie, Czarnem, Parchowie, Przytoku, Słupsku i oczywiście gospodarze. Podczas wspólnej zabawy parodiowano różne znane utwory muzyczne, m.in. z repertuaru Demisa Rusosa, Maryli Rodowicz, Fella, Luciano Pavarottiego, Andrzeja Rosiewiczza, Village People, zespołu Akcent.

Występom przysłuchiwali się różni goście, wśród nich starosta słupski - Sławo-

mir Ziemianowicz, wicestarosta - Andrzej Bury i wójt gminy Ustka - Anna Sobczuk-Jodłowska.

Po występach artystycznych odbyły się zawody sportowe, a po pełnej emocji rywalizacji wszyscy wzięli udział w zabawie tanecznej. W przerwach gospodarze zapewnili uczestnikom festynu wiele jeszcze innych atrakcji: pieczenie kiełbasek, grilla, lody, różne konkursy.

Zabawa trwała do późnych godzin popołudniowych. **(aa)**



Zbliżając się o tej porze roku do cesarskiej stolicy Austrii z podziwem oglądamy w porannym słońcu winnice i kotlinę wiedeńską, a szczególnie płynący piękny modry Dunaj. Wiedeń jest wielkim miastem tętniącym życiem o specyficznym klimacie cesarsko-królewskim, do terazniejszości przenika jego bogata historia. Na każdym kroku spotyka się tu miejsca, w których tworzyli wspaniali artyści i naukowcy. Słynni malarze i architekci stworzyli secesję wiedeńską, a najbardziej znanym naukowcem jest Zygmunt Freud, który opracował założenia psychoanalizy.

Wiedeń jest światową stolicą operetki i walca - muzyki skomponowanej przez dynastię Straussów. Do dzisiaj filharmonicy wiedeńscy otwierają swoim koncertem każdy Nowy Rok, który jest transmitowany przez wszystkie media świata. Mamy też polskie polonika związane z królem Janem III Sobieskim i Janem Kiepurą, który odnosił największe sukcesy jako solista wiedeńskiej opery.

Zwiedzanie miasta dobrze jest rozpocząć od przejazdu przez owalny układ ulic, tzw. ring. Jest to koloista „mała obwodnica” położona w centrum Wiednia. Na tym ringu nanizane są: okazały gmach ratusza w stylu neogotyckim, gmach parlamentu ze słynnym pomnikiem Ateny, teatr narodowy - Burgtheater i wiele innych obiektów. Najważniejszy to Hochburg - zamek wybudowany przez rodzinę panujących Habsburgów w XIII wieku, który przez 700 lat był ich oficjalną rezydencją. Jest to potężny kompleks pałacowy, obejmuje zabytkowe budowle, dawne apartamenty cesarskie, mu-

Roztańczony W

W kawiarni wiedeńskiej można rozkoszować podniebienie sernikiem i kawą po wiedeńsku - Wiener Melange, czarną z lekko ubitym mleczkiem, zbliżoną do włoskiego cappuccino



Fotografowali się w jakimś celu

Miejska Biblioteka Publiczna im. Marii Dąbrowskiej w Słupsku zorganizowała wystawę fotografii związanych z życiem codziennym wsi pomorskiej

Ekspozycja jest pokłosiem wspólnego projektu Biblioteki oraz Starostwa Powiatowego w Słupsku. W swoim kształcie projekt zakładał gromadzenie dokumentów wizualnych pochodzących ze zbiorów mieszkańców naszego regionu. Autorem wielu zdjęć dotyczących wspomnianego tematu jest znany i ceniony słupski fotografik, Jan Maziejuk. W jego zbiorze odnalazły się zdjęcia wykonane przez samego autora, jak również reprodukcje innych fotografii. Ponadto fotografie pozyskano od członków rodzin wielu gmin, m.in.: Słupsk, Potęgowo, Dębica Kaszubska, Smołdzino, Damnica i Kępice. Dla tych osób dalszy los pamiątek rodzinnych nie jest obojętny.

Na podstawie materiału epistolarnego, dostarczonego przez nadawcę zdjęcia,

następuje opis zgromadzonych fotografii. Z analizy wynika, że wiele rodzinnych zdjęć naszych przodków powstało albo na życzenie czy zamówienie (zdjęcia pozowane), albo wykonywane były przez fotoreporterów (zdjęcia reportażowe) lub amatorów. Należy pamiętać, że podstawą społeczności wiejskiej była rodzina. Znalazło to szerokie odbicie w fotografii. Ekspozycja dostępna w Bibliotece zawiera m.in. zdjęcia pochodzące z albumu rodziny Jurałowiczów i Dąbków ze Smołdzina, rodziny Karwowskich z Dobieszewa, rodziny Burglinów z Miszewa. Wiele zdjęć pozyskano z Fundacji „Naji Göche”.

Obiektem zdjęć, które prezentowane są na wystawie, jest przede wszystkim człowiek, jego najbliższe otoczenie, a więc rodzina na tle zabudowań, praca w polu, obrzędy religijne, rzadko zaś krajobraz. Informacja zawarta na starej fotografii definiuje człowieka i jego czasy. Fotograf-artysta dysponując pewnym narzędziem opowiadania, jakim jest aparat fotograficzny, dokonał świadomego wyboru fragmentu świata. Przedstawia nam człowieka, prezentuje otoczenie, ubiór, codzienne czynności, wydarzenia. To, co widzimy na zdjęciu może-

Wiedeń nad modrym Dunajem

zea, kaplice, kościół - Augustinkirche, austriacką bibliotekę narodową i inne. W skrzydle Leopolda znajdują się biura urzędu prezydenta Austrii. Na placu „In der Burg” stoi pomnik cesarza Franciszka II. Najważniejsze muzea to Naturhistorisches i Kunsthistorisches Museum. Galeria muzeum historii sztuki zawiera wspaniałe dzieła malarskie: Rubensa, Rembrandta, Raphaela, Vermeera, Velazqueza, Tycjana. Są tu też światowe zbiory Pietera Bruegela, wśród nich obraz „Droga krzyżowa”, który posłużył za kanwę filmu „Młyn i krzyż” Lecha Majewskiego.

W centralnym miejscu - na Stephansplatz stoi katedra św. Szczepana - symbol Wiednia i całej Austrii. Znajduje się w niej wiele dzieł sztuki, m.in. wykonany z czerwonego marmuru grobowiec cesarza Fryderyka III. Najbardziej charakterystyczną częścią jest 137,5-metrowa wieża południowa. Prowadzą na nią 343 wąskie i kręte schody. Przy dobrej pogodzie widoczna jest nawet z odległości stu kilometrów.

Współczesne oblicze Wiednia to kontrowersyjne centrum handlowe Haas-Haus, czynne przez całą dobę. Zostało usytuowane w otoczeniu eklektycznych kamienic i w jego przeszklonej elewacji odbija się katedra. Wspaniale również prezentuje się jedna z najdłuższych handlowych ulic Europy - Marianhilferstrasse.

Odrębnym obiektem wartym zobaczenia jest najwspanialszy pałac barokowy w Europie - rezydencja Habsburgów Schonbrunn. Nazwa pochodzi od pięknego źródła najczystszej wody. W otoczeniu pałacu są piękne ogrody, fontanny, kaskady wodne i mała architektura ogrodowa. Tutaj w latach 1805 - 1809 mieszkał Napoleon Bonaparte, tu urodził się wielki cesarz Franciszek Józef, który później poślubił Sissi, a w 1918 roku abdykował ostatni cesarz, Karol. W następstwie powstała republika Austrii.

Ze wzgórza Kahlenberg roztacza się panoramiczny widok na Wiedeń. Na skraju Lasu Wiedeńskiego i doliny rzeczki Wiedenki, u podnóża wzgórza 12 września 1683 roku rozegrała się decydująca bitwa. Król polski Jan III Sobieski odniósł tu heroiczne w skali europejskiej zwycięstwo nad wojskiem tureckim. Najstarszy syn Jakub, towarzyszący królowi, w swoim pamiętniku tak uwiecznił atak słynnej husarii: „...zrazu wolno, potem nabierając tempa, wreszcie łoskotem skrzydeł, hukiem bitewnym drżeniem ziemi, husaria przeleciała cały teren od linii lasu wiedeńskiego po rzeczkę Wiedenkę, zmiatając wszystko przed sobą po drodze - konnicę tatarską, załogi obozów, piechotę janczarską oblegającą Wiedeń, a sam wielki wezyr rzucił się do ucieczki”. Do dzisiaj na wzgórzu istnieje kościół polski, który przy-

pomina o wiktorii wiedeńskiej polskiego króla. Świątynią opiekuje się Zgromadzenie Księży Zmartwychwstańców. Wmurowana w ścianę kościoła pamiątkowa tablica w języku niemieckim i polskim głosi: „Janowi III Sobieskiemu, królowi Polski - naczelnemu dowódcy wojsk sprzymierzonych w trzecieście odsieczy wiedeńskiej w obronie chrześcijaństwa - wdzięczni rodacy”.

W słynnym wesołym miasteczku - Prater największą atrakcją jest Diabelski Młyn - dzieło sztuki inżynieryjnej XIX wieku, z którego roztacza się niezapomniany widok na Wiedeń. Stanowi on od ponad stu lat symbol Wiednia i jest obowiązkowym punktem programu dla wszystkich odwiedzających to miasto.

W kawiarni wiedeńskiej można rozkoszować podniebienie sernikiem i kawą po wiedeńsku - Wiener Melange, czyli czarną kawą z lekko ubitym mleczkiem, zbliżoną do włoskiego cappuccino.

Wiedeń jest wielką metropolią o szczególnym kolorycie, tradycji i współczesnej dynamice. To miasto ma wiele do zaoferowania i pokazania, jest piękne w całej okazałości, a nam, Polakom jest bliskie przez ślady naszych wielkich rodaków.

Włodzisław Lipczyński, Słupsk
Autor jest licencjonowanym pilotem-przewodnikiem wycieczek turystycznych.

my wyraźnie określić, dotknąć wyobraźnią. Z ekspozycji prezentowanej w bibliotece uważny obserwator dowie się wiele na temat minionego okresu, m.in. jak odpoczywali kombajnści z PGR w latach osiemdziesiątych w Świtałach (gm. Damnica), w

Olimpiadzie Rolniczej, otrzymując talon na ciągnik, jak ubierano się na wsi w latach sześćdziesiątych i jak wyglądały chaty kaszubskie. Prezentowane fotografie celowo pozbawione są artystycznych interwencji tzw. obróbki, są proste, rzeczywiste, przez

co niebanalne. Wiele fotografii, które dotarły do Biblioteki, to bezimienne dzieła sztuki, prezentujące miniony czas. Najcenniejsze są te najstarsze, pozółkłe, dotychczas przechowywane w najgłębszych domowych archiwach, niedostępne dla innych. Tylko

najbliżsi mieli w nie wgląd. Te fotografie przedstawiają nam historię, o której często zapominamy w pogoni życia codziennego.

Niewątpliwie informacja dotycząca wsi pomorskiej zapisana w fotografii, zasługuje na odkodowanie i przedstawienie. Pomorze jest miejscem styku wielu kultur, dlatego też nasz wspólny zbiór stanowi kolekcję niebywale zróżnicowaną. Wystawa w Bibliotece jest jedynie początkiem prezentacji fotografii chłopskiej. Po debiucie będzie prezentowana w gminach powiatu słupskiego oraz w powiatach ościennych. W dalszej perspektywie projekt zakłada umieszczenie kolekcji „chłopów pomorskich” w Bałtyckiej Bibliotece Cyfrowej oraz wydanie albumu o charakterze regionalnym. Na ten cel potrzebne są odpowiednie środki finansowe, które w części już zapewniło Starostwo Powiatowe. Prace nad przygotowaniem albumu trwają. Projekt nie został zamknięty, nadal oczekujemy na zdjęcia z rodzinnych albumów. Nasi pradziadkowie fotografowali się w jakimś celu, fotograf dostał od nich pozwolenie na uwiecznienie chwili, uchwycił gest, spojrzenie, wyraz twarzy. Pozwólmy zatem na odkodowanie zawartych w nich treści.

Danuta Sroka
Dział Informacji i Promocji MBP
w Słupsku



jaki sposób dowożono dzieci do szkół, jak Klemens Leman z Piaszna (gm. Tuchomie) zdobył pierwsze miejsce w Ogólnopolskiej

Wspólne przeżywanie

Nagła śmierć byłego starosty słupskiego - śp. Stanisława Kądzieli (29.VII.2002 r.) uświadomiła wszystkim raz jeszcze kruchość ludzkiego życia. Zofia Nałkowska głosiła taką konkluzję: „...Ludzie rodzą się i umierają - a życia wciąż wystarcza”



Fot. J. Maziejuk

Tegoroczny, dziewiąty Rajd Rowerowy Osób Niepełnosprawnych im. Stanisława Kądzieli zgromadził blisko 160 uczestników. Były wśród nich osoby niepełnosprawne, które podjęły trud pokonania ponadczterdziestokilometrowej trasy.

Rajdowców przywitał starosta słupski Sławomir Ziemianowicz, który przypominał imię patrona - Stanisława Kądzieli - pierwszego starosty słupskiego po reformie administracyjnej kraju w 1998 roku. Wspólnie z Pawłem Kądzielą - synem śp. Stanisława

i Markiem Królem - dyrektorem Domu Pomocy Społecznej w Machowinku uroczyste przecięcie wstęgi i rajd ruszył w kilkudziesięciokilometrową trasę. Oprócz starosty, Urszuli Dąbrowskiej - dyrektorki Powiatowego Centrum Pomocy na starcie stawili się też m.in. Marek Biernacki - wiceprzewodniczący Sejmiku Województwa Pomorskiego.

Tradycyjnie, pierwszym etapem rajdu jest złożenie kwiatów na grobie śp. S. Kądzieli na Starym Cmentarzu w Słupsku. Po tej ceremonii wszyscy barwnym korowodem ruszyli na trasę. Po przejechaniu kilkunastu kilometrów całą grupę fanfarami powitali mieszkańcy oraz pracownicy Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie z dyrektorem, Marianną Kawiecką. Ugościono tu przybyłych wyśmienitym jadłem i napojami.

Po krótkim odpoczynku, drogami leśnymi uczestnicy rajdu udali się w kierunku Machowina. Pokonanie trudnej trasy wynagrodziło wszystkim kolejne gościnne powitanie - tym razem przez mieszkańców i pracowników tutejszego domu pomocy społecznej. Dyrektor Ewa Młynarczyk zaprosiła wszystkich m.in. na bigos i do wspólnej zabawy.

Ostatni etap rajdu prowadził do Machowinka. Tutaj odbył się finał imprezy. Szpaler cheerleaderek, mieszkańcy i pracownicy DPS-u powitali pierwszych wjeżdżających. Dyrektor Marek Król gratulował wytrwałości. Specjalnym laurem uhonorowano starostę oraz dyrektorkę PCPR. Podziękowano Klubowi Turystyki Rowerowej „Bezkręś” oraz firmie Mag-Med - Ratownic-

Fot. J. Maziejuk

Jarmarkowa trzynastka

Jarmark Gryfitów odbywa się w jednym z najpiękniejszych punktów miasta - w kompleksie zamkowym, przy Spichlerzu Richtera. Już w średniowieczu odbywały się tutaj targi

Od wielu lat w okresie sezonu turystycznego, na Rynku Rybackim w Słupsku odbywa się Jarmark Gryfitów. Historia Jarmarku sięga 1999 roku, zaś idea jego zorganizowania zrodziła się podczas spotkania lokalnych środowisk twórczych. Wówczas to wspomniane grono rzemieślników i kolekcjonerów spotykało się w pracowni znanego słupskiego bursztynnika, Narcyza Kalskiego. Od początku założono, że Muzeum Pomorza Środkowego będzie pełnić funkcję organizatora i gospodarza wakacyjnej imprezy. Dziś stanowi ona cenną ofertę turystyczną, która zwiększa atrakcyjność regionu. Jarmark, to nie tylko kramy rękodzielniczych, twórców ludowych, plastyków, antykwariarzy i kolekcjonerów, ale również oferta szeregu instytucji kultury oraz organizacji pozarządowych.



Fot. J. Maziejuk

Odnalazłem inicjatora i pomysłodawcę rajdu im. Stanisława Kądzeli. Jest nim Ireneusz Dąbrowski, absolwent Akademii Wycho-



two Medyczne z Ustki za pomoc w organizacji rajdu. Występem artystycznym towarzyszyła loteria, a główną nagrodą był... rower. Pojechał razem z jego szczęśliwcem do DPS w Machowinie.

Upominkami nagrodzono najmłodszego uczestnika rajdu - dwuletniego Marcela Nawrota. Długą trasę pokonał on razem z tatą. Uhonorowano też najwytrwalszego uczestnika rajdów - sześćioletniego Kacpra Chaleckiego, który kilkakrotnie już pokonał całą trasę... na własnym rowerze!

Wiele braw otrzymała najstarsza uczestniczka - 75-letnia Maria Maruszak!

wania Fizycznego. Był on pierwszym rehabilitantem w Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie. Tak wspomina ten etap pracy:

- Jedną z form rehabilitacji, jaką stosowałem w DPS, była rehabilitacja społeczna. Moim celem było przede wszystkim przeciwdziałanie skutkom wykluczenia społecznego, na które niewątpliwie narażone są osoby przebywające w domach pomocy społecznej. Oprócz organizowania dla nich turnusów rehabilitacyjnych, wycieczek autokarowych, założyłem koło rowerowe. W ramach integracji organizowałem wycieczki. Ulubionymi stały się trasy nad morze, do

Poddąbia. Jeżdżąc tam, odwiedzaliśmy za przyjaźnionych mieszkańców Domu Pomocy Społecznej w Machowinie. Tak zrodził się pomysł zorganizowania rajdu rowerowego dla mieszkańców wszystkich domów pomocy społecznej w powiecie słupskim i nazwania go imieniem Stanisława Kądzeli. Pierwszy w 2003 roku i pozostałe rajdy zostały przygotowane przy współpracy wszystkich trzech domów pomocy społecznej (w Lubuczewie, Machowinie i Machowinku). Od początku jest też z nami Klub Turystyki Rowerowej „Bezkrę” z Ustki.

Bartek Olewiński z Góry Kalwarii, 15 lat: - Jestem u babci na wakacjach i dołączyłem do grupy rajdowców. To fajna przygoda zobaczyć taką obfitość zieleni, także starodawne pałace i ich obecne przeznaczenie, jakie spotyka się na trasie rajdu. U nas, na Mazowszu nie ma tylu lasów i tylu obiektów architektury. Po powrocie do domu, poszukam w Internecie dokładniejszych informacji o pałacach w Lubuczewie, Machowinie czy Machowinku. Chyba zainteresuję się tą dziedziną wiedzy na dobre...

Marianna Kawiecka - dyrektor DPS w Lubuczewie: - Jadąc razem z innymi turystami, usłyszałam głośny dylemat jednego z nich: „Gdzie my jedziemy? Do Machowina czy Machowinka? Machowinko czy Machowino? Zirykowany lub dowcipny inny rowerzysta odezwał się i ze zrozumieniem mu odpowiedział: „Najpierw „....wino”, później - „....winko”. Czyli najpierw będzie Machowinko!

Wspólny rajd wzbogacił zmysłowo jeżdżących uczestników. Można powiedzieć, że coraz częściej dostrzegamy drugiego człowieka. To cykliczne wydarzenie powinno kojarzyć nam się przede wszystkim z uśmiechem, przyjemnym i solidarnym przeżywaniem świata.

Marek Król
Klemens Rudowski

Wyjście z taką ofertą na zewnątrz inspiruje dzieci i dorosłych do aktywnego uczestnictwa w kulturze. Świadczy o tym chociażby frekwencja. Jarmark Gryfitów wszedł już na stałe do kalendarza imprez miasta i cieszy się



dużym zainteresowaniem mieszkańców oraz turystów przebywających nad Bałtykiem.

Odbyna się w jednym z najpiękniejszych punktów miasta - w kompleksie zamkowym, przy Spichlerzu Richtera. Miejsce to znakomicie nawiązuje do historycznych tradycji Słupska, ponieważ już w średniowieczu odbywały się tutaj targi. Wzdłuż murów miejskich rozciągały się liczne stragany.

Trzynastą edycję Jarmarku Gryfitów inaugurowało Młodzieżowe Centrum Kultury w Słupsku wraz z Miejską Biblioteką Publiczną, pod czujnym okiem dyrektora Muzeum Pomorza Środkowego, Mieczysława Jaroszewicza. Program był zróżnicowany, ukierunkowany na zabawę z dziećmi, taniec i muzykę. Występy solistów Studia Piosenki, Ogniska Baletowego Studia Balance i Teatru Tańca ENZA (MCK) cieszyły się dużym zainteresowaniem przybyłych na Jarmark gości.

Ponadto odbył się interaktywny spektakl dla dzieci w reżyserii i wykonaniu Wiesława Dawidczyka, inspirowany tekstami

Jana Brzechwy. Dzieci chętnie uczestniczyły w Rajdzie „Śladami Gryfitów”, penetrując najskrytsze zakamarki Zamku Książąt Pomorskich. Koszałek Opałek wraz z Sierotką Marysią - maskotkami Miejskiej Biblioteki Publicznej, zabawiały milusińskich zachęcając do czytania i dobrej zabawy z książką. Stoiska Miejskiej Biblioteki Publicznej oblegały tłumy maluchów. Zaczarowany Świat Koszałka Opałka okazał się dla dzieci nie lada atrakcją. Nie zabrakło również ciekawej oferty dla dorosłych.

W ramach Jarmarku odbył się Kiermasz Starej Książki, zaś uczestnicy II Festiwalu Piosenki Wakacyjnej zaprezentowali swoje zdolności wokalne. Przeprowadzono również warsztaty recyklingu. W zabawie brały udział dzieci i rodzice, tworząc z odpadów wytwory własnej wyobraźni. Z roku na rok jarmarkowa oferta rośnie, przybliżając obrazy związane z obyczajowością i folklorem, zaznając z historią, inspirując sztuką i zachęcając do wspólnej zabawy.

Danuta Sroka, Słupsk

Ksiądz biskup Piotr Krupa powiedział, że tak pięknego pomnika jeszcze nie widział

Papież czeka, by nas przytulić



Tegoroczną 47. rocznicę pobytu biskupa Karola Wojtyły w Niepogłędziu świętowano w niedzielę, 17 lipca nie jak dotąd mszą świętą na wodzie, nad jeziorem Głębokim (w miejscu, gdzie podczas spływu kajakowego Słupią 21 lipca 1964 roku przyszedł papież wysiadł na brzeg), lecz przed pałacem w Niepogłędziu, który jest siedzibą społecznych szkół im. Jana Pawła II.

Powodem tej zmiany było odsłonięcie i poświęcenie pomnika Jana Pawła II. Uroczystości rozpoczęły się o 17. mszą, którą celebrował Piotr Krupa - biskup pomocniczy diecezji pelplińskiej w asyście księży Sylwestra Bąka, Tadeusza Rybińskiego - proboszcza Parafii Rzymskokatolickiej pw. Najświętszej Marii Panny Królowej Polski w Budowie i Jana Gillmeistra. Tradycyjnego przecięcia wstęgi i odsłonięcia pomnika dokonali: Eugeniusz Dańczak - wójt gminy Dębica Kaszubska, Zdzisław Kołodziej-ski (kiedy był starostą słupskim wmurował pod pomnik kamień węgielny), Andrzej Kaczmarczyk - wiceprezydent Słupska, Renata Kulik z Kuratorium Oświaty oraz Małgorzata i Andrzej Lemanowie - mieszkańcy gminy.

Wśród licznie zebranych ważną grupę stanowili uczestnicy spływu kajakowego papieskim szlakiem rzeką Słupią, którzy przemierzali ten sam odcinek rzeki, jakim w lipcu 1964 roku płynął bp Karol Wojtyła. Spływ zorganizował Związek Miast i Gmin Dorzecza Słupi i Łupawy.

Kiedy opadające powoli zasłony odkrywały postać Jana Pawła II, u niektórych

Fot. Archiwum

Dopłynęli do Bałtyku

Jan Maziejuk ze swoim aparatem fotograficznym przemierza wzdłuż i wszerz szlaki powiatu słupskiego. Czujne oko fotoreportera wyłapuje ważne wydarzenia, wystarczy błysk flesza i pozostaje kolejny trwały ślad, który jest pamięcią, przypomnieniem, potem źródłem

Na początku sierpnia br., będąc na grzybobraniu, natknął się na spływ kajakowy w okolicy Łosina i Krępy, przy dziewiątym przystanku papieskim. Spływ rzeką Słupią pn. „Spływ ojca z synem” został zorganizowany przez Akademickie Stowa-

rzyszenie Turystyczne „Przystań”. Uczestnikami byli ojcowie i synowie (w wieku 14-18 lat) z wielu miast polskich, m.in. z Wrocławia, Krakowa, Łodzi, Warszawy, Częstochowy, Sosnowca, Żarów i Koszalina. Twardych, żadnych przygód mężczyzn nie prze-



widać było łzy wzruszenia. Nie zabrakło wielu ciepłych recenzji i pochwał dla pomysłodawcy o. Ryszarda Iwanowskiego i autora rzeźby, Jarosława Urbańskiego. Pomnik stanął na dziedzińcu, został zbudowany z darowizn osób indywidualnych, instytucji i przyjaciół. Przedstawia postać Jana Pawła II naturalnej wielkości i dziecko, które stając na paluszkach usiłuje dosięgnąć papieża. Jan Paweł II prawą ręką dotyka jego głowy, jakby chciał je wesprzeć i umocnić swoją siłą.

Obok pomnika rośnie sosna wyhodowana z nasion poświęconych przez Benedykta XVI podczas mszy świętej 26 maja 2006 roku w Warszawie przez leśników z Nadleśnictwa Bytów. Organizatorzy uroczystości - Stowarzyszenie „SPERANDA” z Niepogłędzia, wójt gminy Dębica Kaszubska, Związek Miast i Gmin Dorzecza Słupi i Łupawy oraz młodzież szkół społecznych w Niepogłędziu przygotowali okolicznościową oprawę w postaci przemówień oraz słowno-muzycznego programu artystycznego. Na zakończenie uroczystości ks. bp P. Krupa odznaczył Medalem za Zasługi dla Diecezji Pelplińskiej dr. Stanisława Janka z Dębicy Kaszubskiej, inicjatora ustawienia w miejscach postoju na szlaku kajakowym rzeką Słupią kilkunastu kamieni papieskich. Pomnik Jana Pawła II w Niepogłędziu stanął pośrodku tego szlaku. Stał się szczególnym łącznikiem wszystkich dziesięciu gmin, przez które w 1964 roku płynął Słupią ówczesny bp Karol Wojtyła.

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

straszyła niekorzystna aura. Płynęło czternaście załóg - trzydzieści trzy osoby w siedemnastu kajakach. Komandorem wyprawy był Andrzej Grzegorek.

- Właśnie dzisiaj wpłynęliśmy do portu w Uście. Mimo deszczowej pogody uczestnicy są zadowoleni. Młodzież nie narzekała na brak dostępu do Internetu, gier komputerowych i telewizora. Podczas całego spływu odbyło się szereg imprez. Organizowaliśmy olimpiady między załogami, wyprawy do lasu, ogniska. Mimo deszczu przeżyliśmy wielką przygodę, pokonaliśmy dziesiątki kilometrów kajakiem, miejscami rwącą rzeką, w towarzystwie fauny i flory. Pokonanie trasy ze względu na „atrakcje” i jej długość wymagało od uczestników pewnego doświadczenia w pływaniu. Wyruszyliśmy siódmego sierpnia z miejscowości Soszyca. Naszym celem było wpłynięcie kajakiem do Bałtyku. I udało się - relacjonuje A. Grzegorek, bezpośrednio po zakończeniu spływu.

Pomysłodawcą takiej formy integracji rodziców i dzieci jest organizacja działająca pod nazwą Ruch Nowego Życia (RNŻ). Jej liderem w Polsce jest Przemysław Lewiński. Swoim działaniem obejmuje ona głównie ośrodki uczelniane, prowadząc ewangelizację poprzez różnorodne atrakcyjne formy.

Danuta Sroka, Słupsk



Maskotki odwiedziły Rowy

Na V Ogólnopolskim Zjeździe w Rowach spotkały się trzydzieści trzy kolorowe maskotki, niektóre przyjechały nawet z najdalszych zakątków kraju

Zjazd odbył się w dniach od 15 do 17 lipca br. Maskotki reprezentowały na nim samorządy, instytucje, organizacje, stowarzyszenia, firmy prywatne. Powiat słupski promowały: Jeż i Zając z Kępic, Bociek z gminy Słupsk, Pasikonik z gminy Ustka i Sowa ze starostwa. W piątek wszystkie maskotki wybrały się w trasę promocyjną ze Słupska przez Ustkę do Rowów londyńskim autobusem. Sobota była najbardziej pracowitym dniem dla ulubieńców dzieci. Przed południem wyjątkowi goście udali się na Oddział Dziecięcy Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Słupsku, by pocieszyć i obdarować upominkami najmłodszych. Mali pacjenci otrzymali od puchatych przyjaciół liczne gadżety i pamiątki. Sowa z przyjemnością wręczała puzzle z wizerunkiem słupskiego starostwa oraz małe sówki.

Po wizycie w szpitalu - powrót do Rowów. W namiotowym miasteczku po-

szczególne samorządy i instytucje chwaliły się swoimi produktami, walorami zachęcały do głosowania na ich maskotki. Na stoisku powiatu turyści otrzymywali materiały promocyjne. Dużym powodzeniem cieszyła się mapa powiatu oraz widokówki. Dzieciom największą frajdę sprawiały kolorowe balony, smycze i notesy z herbem powiatu.

Parada wszystkich maskotek zakończyła się na scenie w amfiteatrze. Fotoreporterzy wykonali setki zdjęć. Tu ogłoszono, że najładniejszą maskotką został krokodyl Niluś z Kolbuszowej.

Zjazd Maskotek był również okazją do spotkania się partnerskich powiatów - słupskiego i bełchatowskiego. Ten ostatni debiutował na imprezie i zaprezentował swojego Gryfa. W części artystycznej wystąpił Kwartet Rampa i Nick Sinckler. (D.W.)

Miasteczko przygód



*Piętnaścioro
dzieci z gmi-
ny Damnica,
Słupsk, Kobylni-
ca i miasta Ust-
ki uczestniczyło
w kolejnej edycji
projektu „Zaba-
wa w miasto”
realizowanego
w Niemczech*

Agnieszka Przyborek z Kuleszewa, (gm. Kobylnica): - W poniedziałek, 4 lipca, wieczorem wyruszyliśmy spod Starostwa Powiatowego w Słupsku do Mölln. Rano dojechaliśmy na miejsce. Podzielił się na namioty, a że było jeszcze trochę czasu do rozpoczęcia, poszliśmy na krótką wycieczkę po mieście. Jak wróciliśmy do miasteczka, zaczęli przybywać uczestnicy z Niemiec. Resztę dnia spędziliśmy na zapoznawaniu się. Graliśmy w różne gry, aby zapamiętać swoje imiona. Z polską grupą poszło mi szybko, jednak z niemieckimi imionami nie było tak łatwo. Środa była dniem, w którym dowiedzieliśmy się, o co chodzi w „Zabawie w miasto”. Wyglądało to tak. Wstawaliśmy o 7.00 rano, bo już o 8.00 było śniadanie. O 9.00 szliśmy do pracy. Każdy z nas wybierał zajęcie, jakie chciał wykonywać. Wybór był duży. Moją ulubioną pracą było malowanie koszulek. Pracę zaczynaliśmy o 9.30, a kończyliśmy o 11.30. Szliśmy do banku, który wypłacał nam cztery Till Talery. Mo-

gliśmy przeznaczyć je na różne przyjemności, na przykład na gofry, ciasto itp. Po obiedzie szliśmy znowu do pracy na dwie godziny. Od 14.00 do 16.00 odbywały się różnego rodzaju pokazy, występy, można było pograć w siatkówkę, posiedzieć, odpocząć. Kąpać pod prysznicami można było się co dwa dni. Niezbyt to było komfortowe, ale można się było przyzwyczaić. O 21.00 szliśmy na telewizję. Codziennie przygotowana była transmisja. W piątek polska grupa, po wykupieniu za zarobione Till Talery wycieczki, pojechała do Hamburga. Ogromne wrażenie zrobiła na mnie kraina miniatur (Miniatur Wunderland). Nigdy bym nie pomyślała, że można zrobić tak dokładne miniatury miast i różnych ciekawych miejsc. Ile to musiało kosztować pracy? W sobotę, po południu wybraliśmy się do Lubeki. Zwiedzaliśmy miasto. W niedzielę pojechaliśmy do kościoła na mszę. Ksiądz nas powitał i na mszy wspominał o nas. Po wyjściu z kościoła okazało się, że w tej okolicy mieszkają Polacy. Porozmawialiśmy jeszcze chwilę. Miło było usłyszeć język ojczysty... W kolejną środę wybraliśmy się z przewodnikiem po Mölln. Szliśmy szlakiem Tila. W czwartek rano wyruszyliśmy do Polski. Na pożegnanie były łzy. Ciężko było się rozstać. Z niemiecką młodzieżą nawiązaliśmy dobry kontakt. Była cudowna atmosfera. Spotkał się z niezwykle życzliwością. Bardzo miło nas tu przyjęto.



Agnieszka Zdyb z Kobylnicy: - Było ekstra. Naprawdę coś nie do opisania. Niesamowite przeżycie, które będę wspominała bardzo długo. Świetny projekt, niemiecka młodzież jest naprawdę bardzo otwarta. Ekipy z Polski też lepszej wymarzyć sobie nie mogłam. Wielkim plusem było to, że mogłam posłuchać języka niemieckiego. Uczylałam się i świetnie odpoczywałam. Dzięki wykonanym pracom wiem, dlaczego moi rodzice przychodzą do domu zmęczeni. Wydarzeniem była wycieczka do Hamburga. Gra w minigolfa i minimiasto też były niesamowite. Niedzielny spacer i wspólne dzielenie się sztuką, międzynarodowe mecze siatkówki. Naszym opiekunom nigdy nie brakowało poczucia humoru. Były uśmiechy na twarzach, gdy przyjechaliśmy i łyzy w oczach, gdy opuszczaliśmy to wspaniałe miejsce

Kamil Zdończyk z Ustki: - Gdy zobaczyłem wielkie namioty, byłem pod wrażeniem. Chwilę po przyjeździe poszliśmy na śniadanie. Następnie z polską grupą zwiedzaliśmy pobliski park, w którym rosło wiele gatunków roślin i drzew. (...) Po krótkiej nocy obudziła nas muzyka. Mieliśmy godzinę na umycie zębów, przebranie się i śniadanie. O dziewiątej rano poszliśmy do Stadtspiel i każdy z nas dostał identyfikator. Stawało się w kolejce, aby wybrać swoją pracę. Do dys-

pozycji mieliśmy około 40 prac. Po dwóch godzinach szliśmy na obiad, a po nim zaraz do pracy. Za wypłatę kupowaliśmy sobie jedzenie, później szliśmy nad jezioro. (...) Do Lubeki pojechaliśmy zobaczyć coś w rodzaju Legolandu. Była to wielka makieta z poruszającymi się po niej samochodami, statkami, a nawet samolotami. (...) Wieczorem odbyła się pierwsza dyskoteka. Puszczali dobrą muzykę, ale sama dyskoteka nie rozkręciłaby się, gdyby nie my, Polacy. Jako pierwsi weszliśmy na par-

współpracy partnerskiej powiatu słupskiego z powiatem Herzogtum Lauenburg. Odbywał się w Mölln (Schleswig-Holstein). Wzięło w nim udział około trzystu uczestników, w tym piętnaścioro nas, Polaków. Projekt polegał na tym, żeby poprzez dobrą zabawę uczyć się żyć jak dorośli ludzie: pracowaliśmy, otrzymywaliśmy pieniądze z banku, kupowaliśmy różne wyroby. Codziennie rano o godz. 9.00 szliśmy do Arbeitsbüro (Biura Pracy), żeby wybrać poszczególną pracę, na przykład malarstwo

W dniach od 10 do 12 lipca br. namiotowe miasteczko w Mölln wizytowała delegacja powiatu słupskiego ze starostą Sławomirem Ziemiannowiczem i Ryszardem Stusem - przewodniczącym Rady Powiatu. Delegacji (obecna była także Irena Tkaczuk-Kwalerowicz - sekretarz powiatu) spotkali się z dziećmi. Na dzień VIP-a - otwarty dla zaproszo-

nych gości, do miasteczka przybyli też przedstawiciele władz miasta Mölln i partnerskiego powiatu Herzogtum Lauenburg.

By poznać życie miasteczka, każdy z gości mógł wziąć udział w jednym z czterdziestu projektów (miejsc pracy) przygotowanych dla młodych mieszkańców Tillhausen (tak nazwano miasteczko). Za zaro-

bione w ten sposób pieniądze można było kupić wyroby wytworzone w innych warsztatach lub wydać je w miejscowej kafeiterii.

Dzieci chętnie dzieliły się wrażeniami ze swego pobytu w u Mölln. Mówiły, że najbardziej ucieszyła je wycieczka do Lubeki. Chętnie opowiadały też o zajęciach i atrakcjach, jakie przygo-

towywali dla nich organizatorzy miasteczka.

Po zorganizowanej wizycie w dziecięcym miasteczku starosta powiatu Herzogtum Lauenburg - Gerd Krämer i przewodniczącym Rady Powiatu - Meinhard Füllner pochwalili się jeszcze Centrum Innowacji Technologicznej w Gestacht. (K.S.)

(Malenwerkstatt), zwierzęta ze słomy (Heutiere), piłka nożna (Fußball), kościół (Kirche), polityka (Politik) itd. Z wybraną pracą szliśmy do poszczególnych namiotów. Pracowaliśmy od 9.30 do 11.30. Po skończonej pracy odbieraliśmy kwity po wypłatę z banku. Za każdą wykonaną pracę otrzymywaliśmy 4 Till Talary (takie były nominały w tym mieście). Pracowaliśmy dwa razy dziennie. Oprócz tych prac były również wyprawy do Hamburga i do Lubeki organizowane przez Reisebüro tego zbudowanego miasteczka. (...) Moim zdaniem ten projekt to bardzo pomysłowe przedsięwzięcie, ponieważ rozwinęłam swój język niemiecki i angielski, poznałam nowych ludzi, poznałam nowe słówka z różnych dziedzin życia i zwiedziłam kawałek pięknego kraju. Chciałabym jeszcze kiedyś wziąć udział w podobnym przedsięwzięciu.

Ania Chmielewska (Gimnazjum w Redzikowie): - Na ten wyjazd zostałam wytypowana. Pierwszy raz wyjechałam sama za granicę. Był to dla mnie wielki stres, ale z drugiej strony bardzo się cieszyłam. Nie było czasu na nudę. Prawie codziennie chodziliśmy kąpać się w jeziorze. Podobało mi się, że codziennie na obiad były podawane inne dania, na przykład greckie, włoskie, meksykańskie. Lubiłam jeść gofry i naleśniki, które można było kupić po pracy. Podobała mi się wydawana codziennie gazeta obozowa „Der Eulen SPIEGEL” i telewizja, w której były wiadomości z całego dnia. Brałam udział w kilku zajęciach, które pozwoliły mi rozwinąć nowe umiejętności. Zrobiłam dwa skórzane paski, bransoletkę, dwie koszulki, butony i torbę. (KS)



Fot. K. Stolarska

ków, przebranie się i śniadanie. O dziewiątej rano poszliśmy do Stadtspiel i każdy z nas dostał identyfikator. Stawało się w kolejce, aby wybrać swoją pracę. Do dys-

Paulina Konieczna (I LO w Słupsku): - Wypoczynek pod nazwą „Zabawa w miasto - dzieci budują swój własny świat” został zorganizowany w ramach

Dzień Działacza Kultury, coroczna impreza koordynowana przez starostwo słupskie ma na celu wyłonienie, nagrodzenie i zaprezentowanie wyróżniających się działaczy, którzy swoją pracą starają się zmienić oblicze kulturowe wsi. W gminnych i wiejskich świetlicach zwanych ośrodkami kultury pracują pasjonaci, często marnie opłacani, lekceważeni i niedocenieni na co dzień, bo ich działalność nie przynosi konkretnych zysków ani gminie, ani obywatelom. Wręcz, ciągle się domagają środków na jakieś cele kulturalne. Zakładają zespoły, tworzą kabarety, wystawiają sztuki, organizują spotkania, rysują, malują, piszą. Niestrudzeni w tej, jakże nieefektywnej pracy, której owoce to krótkie chwile oświetniające o wiele ważniejsze przedsięwzięcia gminne. Bez nich byłoby krótko, rzeczowo i na temat, czyli po prostu nudno.

Toteż, żeby działaczom nie opadły skrzydła, od czasu do czasu bywają oni nagradzani i wyróżniani. Nagrody i wyróżnienia, na wniosek gmin, przyznaje Starosta Słupski. I właśnie odbywa się to pod hasłem Powiatowych Obchodów Dnia Działacza Kultury, które każdego roku organizowane są w innej gminie. Na tę uroczystość przybywają nagrodzeni, przedstawiciele gospodarza imprezy, starosta, niektórzy z zaproszonych gości i bardzo nielicznie mieszkańcy, czyli tubylcy.

W tym roku spotkanie zaczęło od odsłonięcia tablicy upamiętniającej życie i działalność Katarzyny Kaliszewskiej na rodzinnym budynku w Siemianicach. Starostwo wyasygnowało autokar, który wszystkich chętnych zabrał spod budynku w Słupsku i bez problemu zawiózł na miejsce. Ale oczywiście ja jestem bardzo wygodna i nie lubię być uzależniona od innych, więc wybrałam się własnym pojazdem z mężem jako kierowcą. Na pytanie, czy tam trafię, wzruszyłam ramionami: kto nie trafiłby do jakiejś tam wsi, mając adres na zaproszeniu i świadomość, że przez tę wieś przejeżdżało się już tyle razy. Poza tym, postaramy się jechać za autokarem. Ostatecznie można kogoś zapytać.

Już na samym początku, autokar zniknął nam z oczu w sznurku pojazdów, przy objeździe ronda. „Nic to, Michałku” - jakby powiedziała Basia Wołodajowska. Damy radę. W rezultacie, Siemianice przejechaliśmy wzdłuż dwukrotnie, nim zdecydowaliśmy się zapolować na jakąś informację. Jest potencjalny informator! Z półciężarówki wyładowanej materiałem budowlanym wysiada kierowca. Na pewno jest zorientowany, bo tu pracuje. A, jużci! Zapytany, tylko wzrusza ramionami. „Ulica Robotnicza?... Kaliszewska?.. Nie mam pojęcia!” Dla porządku, jeszcze się rozejrzyał, machnął ręką w bliżej nieokreślonym kierunku i zabrał się za rozładowywanie materiałów.

Jedziemy dalej. Szkoła. Młodzież na przystanku. Zatrzymujemy się i pytamy.

Jakaś niezbyt rozgarnięta panienka, leniwie zwraca się do drugiej: „Ej! ty, to twoje strony!... Wiesz coś?” Ta druga niechętnie patrzy na nas. Chwilę się zastanawia, rozgląda, jakoś tak niepewnie. „No, to chyba tam!” - enigmatyczne machnięcie ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. - „Robotnicza, ...eee... nie wiem.” - „No co ty! Swojej wiochy nie znasz?”

Spostrzeżenia i refleksje subiektywne



Jakaś niezbyt rozgarnięta panienka, leniwie zwraca się do drugiej: „Ej! ty, to twoje strony!... Wiesz coś?” Ta druga niechętnie patrzy na nas. Chwilę się zastanawia, roz-

gląda, jakoś tak niepewnie. „No, to chyba tam!” Enigmatyczne machnięcie ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. „Robotnicza, ...eee... nie wiem.” „No co ty! Swojej wiochy

nie znasz?" - odezwał się młodzian na wpół leżący na przystankowej ławce.

Po raz trzeci zawracamy. Mąż zapowiada, że to już ostatni raz! Kiwam głową. Na przystanku autobusowym po drugiej stronie zebrała się grupka ludzi. Zatrzymujemy się. Pytamy. Mąż ponagla, bo na horyzoncie pojawił się autobus. Rzucam pytaniem w grupę oczekujących i natychmiast słyszę: „Wiem, o kogo państwu chodzi! Trzeba zawrócić, pojechać do krzyża po lewej stronie i tam skręcić i jechać prawie do końca! A tam już usłyszycie muzykę i zobaczycie, bo to jest na zewnątrz!”

W ostatnim momencie usunęliśmy się autobusowi. Zawróciliśmy i jadąc zgodnie ze wskazówkami, trafiliśmy. Na koncówkę informacyjną o bohaterce...

Zgromadzeni to goście z autokaru i mieszkańcy sąsiadujących domów. A gdzie reszta mieszkańców, gdzie, chociażby delegacja uczniów ze szkoły? Może coś by zapamiętali i na przyszłość potrafili wskazać drogę?

Po oficjalnych uroczystościach, rodzina zaprasza na poczęstunek - ciasto, kawę, herbatę. Snują się wspomnienia o seniorce, padają pytania odnośnie haftu kurpiowskiego. Córka i synowa wystąpiły w uroczystych garsonkach ozdobionych właśnie haftem. A mnie przypomniały się siemienne lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte, gdy mama przerabiała, ozdabiała seryjne ubrania szarobure, żeby nadać im jakiś indywidualny styl, barwę i chociaż trochę ożywić. I nadal, pomimo ciągle zmieniającej się mody i materiałów, zdobione haftem bluzki, zakłady i spódnice stanowią niepowtarzalny, jedyny w swoim rodzaju ubiór. I nie ma takiego drugiego na całym świecie - i nie jest to przenośnia.

Zasadnicze obchody Święta Działacza Kultury odbywały się w Szkole Podstawowej w Bierkowie. Trafiliśmy bezbłędnie. Nic dziwnego. Szkoła to okazały budynek, widoczny, przy drodze.

Zaiste, piękna to szkoła, duża, przestronna, otoczona pięknie utrzymanymi skwerami zieleni. Aż dziw, że dzieciaki nie podeptały, nie połamały krzewów i kwiatów. Albo uczniów jest niewielu, albo mają boisko wystarczająco duże do urządzania wyścigów i zabaw na przerwie. Bo znam tę nieokiełznaną energię rozpierającą ucznia po 45-minutowej lekcji. Ale i sala gimnastyczna jest wspaniała, duża przestronna z siedziskami dla kibiców. Akustyka, jak to na sali gimnastycznej raczej kiepska i jeśli ktośkolwiek mówił zbyt szybko, to szumiało się to w niezrozumiałą bełkot.

Dobry i zróżnicowany program artystyczny i konferansjerka prowadzona przez panią Teresę i pana Zbyszka w formie dialogu, dowcipnego przedłużania występu artystów poprzedzały wręczanie nagród działaczom kultury (o nagrodzonych napisał pan Zbigniew Babiarski-Zych w „Powiecie Słupskim”, nr 5-6). I wszyst-

ko działa się na tle obrazów malowanych na szkło pana Czesława Guita. (Mistrz doskonale czuje się z mikrofonem przed publicznością i jest niesamowitym gawędziarzem, świetnie się go słucha. Rzadki to dar, bo większość nagrodzonych raczej szybko dziękuje i ucieka).

Muzyka, a szczególnie „Prząśniczka” w wykonaniu kwartetu „Ostatnie takie Trio+Goście”, na wszystkich zrobiła duże wrażenie. I pomyśleć, że niegdyś akordeon był znakiem zapytań wiejskich pograjek. Może i te pograjki z akordeonem były znakiem kulturowego opuszczenia, ale mistrz dowiódł, że jest to instrument ponadczasowy i można z niego wydobyć każdy dźwięk, zagrać różnorodne kompozycje. Historia ludzi, którzy z umiłowaniem muzyki się spotykali, potem na lata rozstali, by się znowu reaktywować, wpleciona między granymi utworami to znakomity sposób nawiązania kontaktu z publicznością. Nam uprawianie muzyki sprawia przyjemność, ale chcemy, żeby i wam było miło” - zda się mówili muzycy. I jeszcze zagadkowe „trio, które jest kwartetem, a marzy mu się zostać kwintetem”. Pierwszą część zagadki udało się rozwiązać szybko, ale co z tą drugą?

Dech w piersiach zaparła wszystkim Kępicka Orkiestra Dęta. Instrumenty wielkie, ciężkie, błyszczące, zda się ponad siły trzymających je strażaków, którzy w galowych mundurach wmaszerowali w szyku na salę. Na ekranie telewizyjnym orkiestra dęta nie wywołuje takiego wrażenia jak na żywo. Nic dziwnego, że „babcia, stojąc na balkonie, zakochała się w dziadku, dziarsko maszerującym w dole!” A na czele - drobna, szczupluteńka, wręcz filigranowa pani kapelmistrz. Zastanawiałam się podczas występu, w jaki sposób potrafi zdyscyplinować mężczyzn, by słuchali i wykonywali polecenia? Może używa do tego buławy?

Skecz o rozmarzonej gospodyni domowej, która chciała chociaż przez chwilę pożyć, niczym bohaterka serialu, przedstawiony przez panią Aldonę Peplińską, w sposób żywiołowy, wywołał salwy śmiechu. Aczkolwiek należałoby raczej zapłakać, bo zbyt wiele jest takich marzycielek, które ciągle czekają na rycerza, obierając ziemniaki, bijąc furiacko kotlety, i nie doczekawszy się, gorzkniej, nie umiając znaleźć radości życia w codzienności.

Spotkanie zakończyło się poczęstunkiem przygotowanym przez panie z Koła Gospodyń Wiejskich. Nie powiem, żeby to był skromny poczęstunek. To była uczta i dla oczu i dla podniebienia.

Ale i tutaj zauważyć można było nieobecność mieszkańców. Zrozumiałe, że nie mogą to być imprezy masowe, bo nie wszyscy są nimi zainteresowani, ale myślę, że można było zaprosić, chociażby młodzież, by znała i wiedziała, co się wokół dzieje.

Teresa Nowak, Łupawa

Otwarty poligon

Prawie dwieście osób wybrało się na największy polski poligon - w Wicku Mor-skim koło Ustki



Z wycieczki rowerowej i autokarowej skorzystali mieszkańcy Ustki oraz turyści z kraju i zagranicy. Zorganizował ją Ośrodek Sportu i Rekreacji w Ustce z Klubem Turystyki Rowerowej „Bezkręś”. Tereny, które są niedostępne na co dzień, 10 lipca można było zwiedzać do woli. Zainteresowani mogli zobaczyć bunkry, stanowiska strzeleckie, dowodzenia, lotnisko i wiele innych wojskowych obiektów. Trasa wycieczki wiodła z terenu OSiR-u przez Centrum Marynarki Wojennej w Łędownie na Centralny Poligon Sił Powietrznych. Rowerzyści pojechali jeszcze do Jarosławca. Po powrocie na poligon mogli wziąć udział w zawodach strzeleckich, porzucać lotkami do tarczy. Przeprowadzono też ciesząc się dużym zainteresowaniem konkurs wiedzy o historii poligonu. (M.N.)

Dziękujemy - to nie boli!

Dziś nie zapraszają do szkół, domów kultury. To my się wpraszamy, chcąc przypomnieć dorosłym o sobie, a młodszym przedstawić naszą twórczość, dzieląc się własnymi osiągnięciami

wszyscy i tak siedzą przed komputerem. W nim mają przecież wszystko - film, gry, zabawy. A ja odpowiadam: a co mają robić, dokąd pójść? Na spotkania na przystankach autobusowych i trzepaku? To znamy. Ale przecież nie stoimy w miejscu. Ku uciesze ogółu rozwijamy się na wielu płaszczyznach, także społeczno- kulturalnych. Więc warto zastanowić się, jak odbudować życie towarzyskie we wsi, kiedy nie ma miejsca, w którym ludzie mogliby się spotykać regularnie, szczególnie w deszczowe dni czy zimowe wieczory.

Kiedy już znajdują się ludzie, którzy w różny sposób próbują zaszczepić miłość do śpiewu, tańca, rysunku, haftu czy innych twórczych czynności, szanujemy i doceniamy ich aktywność, bo oni nie robią tego dla poklasku, czy jakiegoś osobistego zysku. Jeśli jest dobre słowo, podziękowanie, zauważenie - to będzie to tylko świetny bodziec na następne dni, miesiące i lata. To tylko upewnienie, że robią coś dobrze, pomimo szeptów złośliwych komentatorów ich ciężkiej pracy.

Smuci mnie, iż od kilku już lat coraz mniej czasu dla tych ludzi mają władze gmin, dyrektorzy gminnych ośrodków kultury, szkół i innych instytucji. Przecież to im pomagają na różne sposoby, często promując, broniąc honoru wsi, gminy, w różnych starciach sportowo-rekreacyjnych nie wadzi im kolor szalika z przeciwnika czy barwa partii politycznych.

Cieszy mnie, iż są wyjątki, są życzliwi. Takim na pewno jest starosta słupski pan Sławomir Ziemianowicz, który zawsze znajduje czas w zabieganym kręgu obowiązków, aby spotkać się z takimi ludźmi, docenić, nagrodzić, podziękować. Są też, co prawda nieliczni, ale i inni wyrozumiali, pomocni. To na pewno cieszy, pomaga. Oby tylko pozostali brali z nich przykład, bo współpracą na pewno więcej osiągniemy ku uciesze innych.

Przykre jest, że na owe uroczystości przybywa też coraz mniej samych zainteresowanych. Już nie ma tłumów i braku miejsc na sali. Dziś trybuny czy pałacowe salony „prześwitują luzem”. Zastanawiam się, dlaczego? Myślę, że brak wielu osobom motywacji. Każdy z nas, działaczy, twórców, animatorów kultury wie, ile trzeba się nabiegać, by coś dobrego zrobić i być zauważonym. Dziś nie zapraszają do szkół, domów kultury. To my się wpraszamy, chcąc przypomnieć dorosłym o sobie, a młodszym przedstawić naszą twórczość, dzieląc się własnymi osiągnięciami.

Czy to źle? Czy jest to nietaktem? Jeśli nawet, to w dobrej wierze.

Aldona M. Peplińska
Motarzyno

Autorka jest laureatką tegorocznego „Białego Bociana” - najwyższej nagrody przyznawanej w powiecie słupskim w dziedzinie kultury. (Z)



Fot. J. Maziejuk



Duch robociarski umarł

Polski robotnik to dzisiaj szeregowy pracownik. Ten, który jeszcze niedawno nosił znaczek Solidarności w klapie kurtki, jest obecnie zepchnięty do roli trybu maszyny pracującej na rzecz zagranicznych koncernów. A władza jest jak choroba, zjada dużymi kęsami czekoladowy tort wolności, zagarniając dla siebie wisienkę

Upalny sierpień tamtego lata wlał się w naszą świadomość na zawsze. Wszędzie niepewność i sprzeczne informacje. Przerwa śniadaniowa, może to ostatnia, całkiem za krótka, w której ledwo zdążysz zaparzyć herbatę, z polykanymi w pośpiechu resztkami wczorajszej kanapki. Może to ostatnia, może pierwsza wolna, wolnego robotnika, w której to on umorusany w wyświechtanym kombinezonie podyktuje warunki. Lecz czym się to objawi, tam zgiełk, tu pewność, tam wielka niewiadoma w niepewności.

Przyparli mnie do muru obietnicy, zdecydowali, nałożyli na głowę laur zaufania i wiary w intuicję i słowa.

Pewni swego szliśmy wąskim korytarzem wprost przed oblicze MKZ-tu, komitetu podobnie zbuntowanych. Skąpo oświetlona świetlica zakładowa Kapen-y, wyłoniła z wnętrza postacie, które wydawały się być tam od zawsze, a tylko gościły przez chwilę sierpniowego buntu. Później wszystko powróciło do normy, normy zachowawczej hierarchii podwładnego, robota i pracownika. Rozparci jak hiszpań-

scy zdobywcy w wygodnych fotelach niechcianej i znienawidzonej partii z odlewem monsturalnej głowy przywódcy narodów w tle, składaliśmy raport z powołania komisji zakładowej. Niedawni wychowankowie komunistycznych idei obrócili się przeciwko niedawnym mózgotrzepom, sprzenie-wierzyli zaufanie, jakim obdarzali umorusaną masę ojcowie zniewolonej nomenklatury. Wpajali połowie świata o swojej racji, nadęci baronowie od światopoglądu, od idei i niczym nie uzasadnionej wiary w cuda. Niedawni robociarze z podkasanymi rękawami flanelowych koszul trwali za czerwonym suknem w dumnej bolszewickiej pozie zwycięzców i oskarżycieli.

Raczkująca władza jest ufna i czysta, wierzy każdemu, szybko okaże się, że tak nie wolno. Władzy się nie wybaczają, choćby nawet pochodziła od nędzarzy, choćby była przesiąknięta ideami. Bo władza jest jak choroba, która zjada dużymi kęsami czekoladowy tort wolności, zagarniając dla siebie wisienkę. Tamta władza towarzyszyła przy rachitycznym ostatnim akcie niemej opery. Spektakle z wyprowadzeniem sztan-

daru, paktowanie po lasach i podejrziwie, nazbyt szybkie pozbycie się jej. Zmiany przychodzą wtedy, kiedy budzi się gniew, kiedy tłum już nie szepta tylko krzyczy, kiedy podnoszą pięści. Zmiany są zawsze niezbędne, są świeżą krwią organizmu, malują nadzieję w pastelowe kolory. Młode wyfrunęły z gniazda i robią pierwszy oblot, jeszcze nie wiedzą, że z pewnej odległości przygląda się im jastrząb.

W zakładzie zawrzało wieścią o nowych związkach, przeleciało po halach, zahuczało radością i tryumfem. Mój szef był „człowiekiem przyniesionym w teczce”, lekka siwizna przyproszyła kruczkie włosy, z sfory ujadających obrońców staro porządku, przeczuwał, że przychodzi nieuniknione. Widział to w mojej twarzy, słyszał w napastliwości słów, gdy pod orłem okradzionym z korony przedstawialiśmy listę postulatów. Byliśmy na tarczy pełni euforii, wyniesieni trybuni pospolitego ruszenia, odwieczni wrogowie niesprawiedliwości, utaplani w dziejowych smarach robotniczego trudu, egzekutorzy. Karnawał trwał.

Rozparci wiedzieliśmy jedno, od tej chwili wszystko, czego byśmy doświadczyli, nie będzie tak samo. Wziąć odpowiedzialność za Polskę, za Polskę rozłożoną na łopatki przez nieudolne rządy monolitycznej partii, czy tę, która rysowała się mgliście. Wśród nas powoli i niedostrzegalnie krystalizowały się różne odczucia odpowiedzialności, z jednej strony mający pewien bagaż pracy organizacyjnej, drudzy, w tym ja stawiający dopiero pierwsze kroki. Organizacja pęczniała, wiedziałem, że to tylko do pierwszej porażki, później przyjdzie to najgorsze, ludzka zawiść i powątpiewanie. Karnawał trwał w najlepsze.



Fot. J. Maziejuk

Masówki żyły tylko w innej oprawie, z Bogiem w klapie marynarki podobne do tamtych w podniosłym patriotycznym zryw. Starsi wiekiem robotnicy chłodno przyjmowali nowomowę za pewnik nadchodzących zmian. Widzieli niejedno i niejedne słowa kiedyś owładnęły ich umysły, były motorem działań, płonęły na stosie nadziei w lepsze jutro z pożogą straconej młodości dla ludowej ojczyzny.

Słońce paliło na zewnątrz rudawą trawę skweru przed biurowcem, w hali podszytej chłodem z inicjatywy kilku napaleńców zwołano zebranie. Stałem się głównym obiektem zainteresowania i lasery oczu zgromadzonych prześwieślały mnie żywym ogniem, wwierały się w świadomość, nie pozwalają uspokoić. Widziałem twarze

zmęczonych rozmówców, którzy nie ufali szczawikowi, co ledwo jęzorem zahaczył demokracji. Młode wilki, te zapalczywe nie szanowały starego porządku, chciały się usamodzielnić, wyrwać z okopów, gryźć i kasać. Dołączyłem do nich dużo wcześniej, kiedy wpadła mi w ręce ulotka RAPCIO, i kiedy w siedemdziesiątym szóstym oficer polityczny wojska nazwał tych wszystkich ludzi wywrotowcami i zarazą na zdrowym ciele ojczyzny. Mój ojciec był robotnikiem i nigdy nie podejrzewałem go o chęć obalenia ustroju. Przecież stary Wziętek i Ciszewski, pierwsi ze starej gwardii dołączyli do nas na krótko przed emeryturą. Czy ich

postawę nadęty oficerek w wyglancowanych oficerkach, bądź co bądź ludowej armii nazwałby podobnie i przytknął łatkę wywrotowców. Stary porządek w osiemdziesiątym roku umierał, tylko w jakim stylu. To, co się stało rok później, mogę śmiało określić jako brak jakiegokolwiek stylu i chociaż dyskusje nad zasadnością wprowadzenia stanu wojennego będą się toczyć w Polsce jeszcze długo, wywołując niepotrzebne animozje i agresje. Ja z uporem maniaka będę twierdził, że ogłoszenie stanu wojennego było zupełnie nieuzasadnione. Huczały złowrogą nutą rozsiewane pogłoski jakoby radzieccy żołnierze stali w pełnym rynsztunku przygotowaniu do wkroczenia do Polski. Były budzą i chyba nikt rozsądny wtedy w to nie wierzył. Wschodnich formacji było w naszym kraju tyle, że bez większego trudu mogły zapanować nad „polską rewolucją”. Jednak skostniały system i znienawidzona partia i tym razem chciała w agonialnym geście

udowodnić „niedouczonemu” społeczeństwu wyższość socjalistycznego porządku nad „zgniłym” kapitalizmem. Do dzisiaj próbują to udowodnić na Kubie i w Korei Północnej. Bratnia wojna przyniosła ze sobą śmierć niewinnych osób, którzy przeciwko uzbrojonym po zęby szeregom przeciwstawiali zaciśnięte pięści. Obkleka w kir sylwetki najbliższych, kazała pamiętać. Po tamtych strasznych dniach przyszło opamiętanie, karnawał już nie dał w trąbę z tą samą mocą, nie sypały się konfetti radości, barwy spopielały. Głośnie pukania do drzwi trzynastego grudnia wypełniały ciemną polską noc. Wstąpiło w nas rozdarcie, w tych którzy z bronią w ręku i tych spokojnego usposobienia. Staliśmy na rozstajach życiowych decyzji. Lwia część członków związku ze-

szła do podziemia. Z liczących dziesięć milionów niespełna jedna trzecia przyglądała się z biernością. Wyczekiwali na pozytywne ruchy góry. Czarne wrony rozsiały się nad prawie każdym skrzyżowaniem, większe niezadowolenie tłumione było w zarodku. Dopiero rok osiemdziesiąty trzeci przyniósł pewną obietnicę, stare zmęczone wrony odleciały na wschód, by wracać stamtąd wciąż nowymi niepokojami. Rozpoczęły się rozmowy przy stole bez kantów i, jak to później powiedzą nieliczni, właśnie ich brak doprowadził do szeregu nierozliczonych spraw. Wciąż żyje w emocjach sprawa grubej kreski Mazowieckiego, który prześlągnięty ideałami wolności chciał jak za dotknięciem czarodziejskiej różyczki zrównać stare z nowym. Dlaczego, jak w każdym normalnym kraju, nie było inwentaryzacji przy przekazywaniu majątku narodowego nowym władzom? Dlaczego polska prywatyzacja zakładów pracy, poza nielicznymi, doprowadziła do zaniechania produkcji i w konsekwencji upadków dobrze prosperujących gałęzi przemysłu?

Aby wsłuchać się w teorię spiskową tamtych lat potrzebne było wprowadzenie do Polski obcego kapitału, który bez przeszkód mógł zarzucić rynek wyrobami swoich koncernów. Czy taka była cena przyłączenia kraju do NATO i Unii Europejskiej? - zastanawiają się niektórzy. Bo gdyby po latach historycy, oceniając naszą współczesną historię, przypadkiem natrafili na tajne umowy, w tym względzie byłaby to największa kompromitacja Polski i polityków. Ale póki co tyle teoria spiskowa, choć słyszy się tu i ówdzie jej echa i podzwonne również jest dzisiaj obecne w naszym życiu politycznym. Polski robotnik to dzisiaj szeregowy pracownik. Ten, który jeszcze niedawno nosił znaczek Solidarności w klapie kurtki, jest obecnie zepchnięty do roli trybu maszyny pracującej na rzecz wspomnianych koncernów. Rodzimych, dużych przedsiębiorstw w naszym kraju jak na lekarstwo, i nie dając wiary w ową teorię, to jednak fakt ten zastanawia.

Duch masy robociarskiej umarł utopiony w konsumpcjonizmie, i z obawy o utratę pracy. Gdyby obecnie zrodził się we mnie pomysł reaktywowania tamtej Solidarności, byłbym pewnie jednym z nielicznych utopistów.

Duchowość tego ruchu przypominała czasy rewolucji francuskiej. Cóż z tego, kiedy wynika jasno, że my, Polacy, związkowcy nie umieliśmy ocalić patosu Solidarności i zbyt łatwo daliśmy sobie wyrwać prymat w tym względzie. Lech Wałęsa w jednym z wywiadów powiedział: „Upadek muru berlińskiego to chwalebna rzecz, lecz przedtem ktoś musiał niedźwiedziowi wyrwać pazury i zrobili to Polacy jako pierwsi”. Nie wiem, czy dokładnie przytoczyłem słowa prezydenta, i właśnie dlatego, aby rzecz wyjaśnić do końca, potrzebny był ten esej.

Czesław Kowalczyk, Słupsk

Z ciekawością spoglądam i podziwiam region kaszubski ze Słupska - z pogranicza gdzie mieszkam. Można przyjąć, że historycznie swoim zasięgiem oddziaływała ta wyodrębniona kultura obejmowała duży obszar Pomorza. Dziś ludność kaszubska jest znakomicie zintegrowana. Przyjmuje się, że populacja Kaszub; liczy 80 tysięcy mieszkańców. Województwo pomorskie to dla nich obszar rdzenny. Skąd rozeszli się po całym świecie, zachowując swój język i tradycje. Przykładem - diaspora kaszubska zamieszkująca kontynent Ameryki Północnej w Kanadzie, która zachowuje ciągłą więź z macierzą. Anegdota mówi, że „Kaszubi są to górale, którzy nie zdążyli na statek odpływający do Ameryki” i dlatego zasiedlili część Pomorza - od wybrzeża aż do Borów Tucholskich na śródlądziu. Ludność ta posługuje się językiem kaszubskim, który został zakwalifikowany jako jedyny w Polsce do odrębnego języka, a nie do gwary, czy dialektu. O dokonaniach Kaszubów, wielkich rodów i wybitnych przedstawicieli można by wiele pisać. Każdy temat jest przykładem głębokiej ich miłości do swojej małej ojczyzny, jednak przy zachowaniu wierności temu, co jest polskie i co utożsamia się z pojęciem narodu i państwa - Polski.

Przeglądam tegoroczny sondaż przeprowadzony na stronie pomorskiego portalu internetowego Naszekaszu.pl. Połowa internautów wypowiada się na temat powołania organizacji na miarę Ruchu Autonomii Śląska. Mimo że liczba głosujących nie jest reprezentatywna, to jednak wyraża się podteksty narodowościowe. Jeden z internautów głosi „mam prawo czuć się Kaszubą nie Polakiem”. Autorzy sondy chcieli się dowiedzieć, czy Kaszubom jest potrzebna organizacja, która działałaby na rzecz uznania ich narodowości. Portal ten prowadził też akcję „Wybieram Kaszubskość”, w związku z narodowym spisem powszechnym. Czy Polsce może grozić zatem kaszubski separatyzm?

Z takimi m.in. problemami udałem się na XIII Światowy Zjazd Kaszubów w Łęborku, 23 lipca br. Miasto wyglądało bardzo odświętnie i przygotowało bogaty program. Rozśpiewane korowody w kaszubskich regionalnych strojach przemaszerowały ulicami do Sanktuarium św. Jakuba na mszę św. z kaszubską liturgią słowa. Tutaj rozpoczęła się Łęborskie Dni Jakubowe i był realizowany po raz czwarty program pod hasłem: „Ożywiona Staromiejska”. Był to przegląd markowych produktów regionu, osiągnięć i pokaz folkloru na łęborskim deptaku. Gościem honorowym zjazdu był premier Donald Tusk, który podczas swego wystąpienia podkreślał odrębność kulturową Kaszub. Powiedział m.in.: „My tu, na Kaszubach wiemy, jak wspaniałą rzeczą, którą udało się na naszej ziemi zachować, jest pokój między ludźmi, powściągliwość, zdrowy rozsądek i umiar.”



Fot. J. Maziejuk

Nie ma takiej możliwości, by na Kaszubach powstała taka organizacja, jak RAŚ. Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie jest organizacją, która obejmuje wszystkie dążenia regionu, a jego działalność w „pracy organicznej” jest istotna i przynosi efekty.”

Jakie są etniczne problemy do rozwiązania na Kaszubach, czy są jeszcze ukryte dążenia do autonomii? Z pytaniem tym zwróciłem się do senatora Kazimierza Kleiny - Kaszuby, parlamentarzysty z Łeby. Senator odpowiedział: - „W 2006 roku powstał nasz zespół, a w dziejach polskiego parlamentarizmu jest ewenementem. Kaszubi zorganizowali się po raz pierwszy w zespół, który wyznaczył sobie istotne cele do realizacji. Głównym naszym zadaniem jest inspirowanie różnorodnych inicjatyw na rzecz promocji Kaszub i Pomorza. Do konkretnych efektów można zaliczyć podejmowane działania na rzecz przekazania większych środków na inwestycje zlokalizowane na Kaszubach i Pomorzu, np. na remonty nabrzeży, szczególnie w małych portach, na odbudowę brzoгу morskiego po sztormach, modernizację flory rybackiej, wsparcie lokalnych grup rybackich. Na kulturę i regionalizm, na popularyzację w gminach kaszubskich dwujęzycznych tablic. Stwierdzam jednoznacznie, że nie ma takiej możliwości, by na Kaszubach powstała taka organizacja, jak RAŚ. Absolutnie to wykluczam i uważam, że sondaż ten nie jest reprezentatywny. Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie jest organizacją, która obejmuje wszystkie dążenia regionu a jego działalność w „pracy organicznej” na rzecz Kaszub jest istotna i przynosi efekty.”

W Łęborku odbywają się m.in. międzynarodowe spotkania z folklorem, przeglądy i występy zespołów kaszubskich. Spotkania z muzyką zbliżają i pogłębiają wiedzę o podgrupach etnograficznych, zróżnicowanych językowo i kulturowo. Na Kaszubach mieszkają i tworzą: Bylacy, Gochy, Józcy lub Mucnicy, Krubanie, Lesacy, Morzanie, Rybaki, Borowiaccy Tucholscy - Borowiany, Tuchołki, Zaboracy. Odrębną też podgrupę stanowili byli Słowińcy. To bogactwo kulturowe, a szczególnie unikalny i, można powiedzieć fenomenalny język kaszubski, nauczany już w wielu pomorskich szkołach, daje podstawy sądzić, że będzie następował dalszy rozwój regionalizmu kaszubskiego.

Ja ciągle mam w pamięci piękne strofy kaszubskiego poety Hieronima Derdowskiego, które stały się niezapomnianym kaszubskim hasłem i powiedzeniem: „Nie ma Kaszub bez Polonii, a bez Kaszub Polski”. Jest to przesłanie zawsze aktualne i ma szczególną wymowę, kiedy piękny region kaszubski i zamieszkała w nim ludność ma wszelkie możliwości do kultywowania swojej tożsamości etnicznej i odrębności językowej, a przy tym społeczność ta zachowuje polskość i czuje się częścią narodu polskiego.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

PODRÓŻ

Jechali w milczeniu, tylko wiatr wcielił się w rolę prokuratora i jęczał przez uchylone okna



Fot. Archiwum

Spakowana torba podróżna figlarnie krzątała się koło drzwi, dokumenty i portfel z pieniędzmi, ułożone jeszcze wczoraj na małym stoliku koło telewizora, czekały na rozkaz wyjazdu. Dogasający księżyc lampki nocnej rzucał skąpy cień w tryumfie dnia na jego twarz, podkrążone oczy zdradzały bezsenność. Myśleć, myśleć, byleby nie zasnąć do dziewiątej, potem poprosi syna i usadowi się wygodnie z tyłu samochodu, i wtuliwszy się głęboko w miękkość tylnego siedzenia, zaśnie.

Nic nie jest na tyle istotne, oprócz tej wsi. Podróż, och rozpocząć tę podróż, choćby już, choćby teraz, natychmiast. Dużo czasu do dziewiątej, położyć się jeszcze na złożonej kanapie, pójść do sklepu po bułki, zaparzyć ponownie herbatę. Tyle pytań bez odpowiedzi do dziewiątej, tak jakby od tej magicznej godziny mógłby się narodzić na nowo, jakby to, co jest, teraz było nieważne. Podporządkować się mijającym sekundom, ta zasadnicza myśl utracą wszelkie spekulacje. Czas istnieje tylko w wymiarze przedtem i potem, to czego jest świadkiem teraz stanowi odwieczną walkę człowieka z jego wątpliwościami, z niepewnością za gest i słowo. W tamtym wymiarze wszystko jest tak banalnie proste. To rozgraniczenie na dobro przedtem i wiara w dobro, którego spodziewa się doświadczyć, wynikająca z aspektu podróży. Wątpliwości starego człowieka są prawie zawsze bardziej skomplikowane, gdy niosą, za sobą bagaż przeżytych dni i ich niepewność.

Z rozmyślań wytrącił go kobiecy głos z radia: nadajemy komunikat specjalny, temperatura w pasie polski północnej w południe osiągnie około czterdziestu stopni Celsjusza, prawdopodobnie wystąpią ograniczenia w ruchu kołowym samochodów ciężarowych na niektórych odcinkach dróg, między innymi dotyczy to krajowej drogi numer sześć i trzy. Ponadto uprasza się podróżujących o zachowanie szczególnej ostrożności...

Kwadrans przed godziną dziewiątą

biały citroen vista wjechał na wąskie podwórze i zatrzymał się na wprost drzwi przybudówki prowadzącej do małego mieszkania. - Jesteś gotowy - rzucił młodszy mężczyzna w czeluści przybudówki.

- Jestem gotowy od zawsze synu, gotowy od czterdziestego szóstego roku na spotkanie z nią, jestem gotowy od trzeciej rano, to przecież cała wieczność.

Młody zignorował enigmatyczną odpowiedź.

- Słyszałeś komunikaty w radio, będzie gorąco, wziąłem zapas wody do picia. Jeśli chcesz możemy odłożyć wyjazd na później, w jakiś chłodniejszy dzień. Postaram się o urlop, jak teraz. Co ty na to?

Spojrzenie, jakim obrzucił szczawika, było nazbyt wymowne, i w tej sytuacji ustawiwszy jedynie, że zajmie miejsce na tylnym siedzeniu, jazda samochodem przebiegała bez najmniejszych zakłóceń. Słychać było miarowy warkot silnika, delikatna muzyka sączyła się we wnętrzu, przynosząc zamierzony efekt. Starszy człowiek zasnął prawie natychmiast i tylko nierówność drogi, po której jechali, podrzuciła mu delikatnie głowę wspartą na zagłówku siedzenia. Vista kierowała się do Chojnic, aby stamtąd udać się na południe. Celem wyjazdu były miasta Sieradz, Wieluń, Zapolice, i oczywiście wieś Pstrokonie. Refleksy słońca prześlizgiwały się po zmęczonej twarzy, załamując na sekundy, tworząc przedziwną parabolę odcieni. Ocknął się dwieście kilometrów za Słupskiem, jeszcze bardziej zmęczony i odrętwiały.

- Gdzie jesteśmy - przerwał mamrotanie silnika.

- Daleko, ale do celu jeszcze około trzysta pięćdziesiąt kilometrów!

Dobrze wiedział, że to tylko pretekst, w rezultacie żał mu było każdej minuty, każdej sekundy, aby wreszcie zobaczyć dom, o którym tyle opowiadał dzieciom, gdzie wszystko miało swój początek, wieś, pałac, wał przeciwpowodziowy, szerokie równiny łąk i staw.

- Nigdy o tym nie mówiłem nikomu, nawet twojej matce. Pamiętasz jak starałem się kiedyś opowiedzieć moją historię, będąc po imieninach u Krystyny, wtedy miałem nadzieję się wygadać, i że to przyniesie tymczasową ulgę, gdy wraz z innymi przymusowo leżałem w błocie pod obstrzałem karabinów. Mama nie chciała tego słuchać i wy też byliście zniesmaczeni monologiem. Bałem się wtedy i boję się teraz. Tam na bagnach, obok mnie leżał Staszek Wierchoła, razem szliśmy od poboru. Był z tej samej wsi, podniósł głowę, aby ocenić sytuację i wtedy jakiś niemiecki snajper roztrzaskał mu ją, a ja tak bałem się podnieść swoją, żeby zobaczyć, co się stało. Leżałem nieruchomo nawet wtedy, gdy pociski jednego z kaemów zrobiły z mojego plecaka garść niepotrzebnych strzępów. Tuszonka, która w upale dnia rozpuściła się, teraz była tłustą plamą na moich plecach. Resztki chleba były na wyciągnięcie ręki, bochenek rozbrzygł się wokół ciała, zamoczył w błocie, lecz jeden kawałek był większy i nie bardzo było mu spieszno tonąć, był tuż obok mojej głowy, pachnący i taki apetyczny. Byłem cholernie głodny, rano wyjechaliśmy

dziennosc zaznaczyła twarz zmarszczkami robotniczego trudu, odświętność uczyniła zeń człowieka małowinnego, skrytego i zamkniętego w sobie. Wszelkie uczucia traktował po macoszemu, wystawiał pomniki tylko tym, którzy potrafili nad nimi zapanować.

- Ten właśnie Rosiak był tu dwa lata temu i twierdził, że to miejsce nadal jest, gdzie w czterdziestym szóstym roku bezpieka ustawiła byłych żołnierzy, jadących na zachód twarzą do wagonów, plądrując skład w poszukiwaniu wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość materialną. W imieniu Polski Ludowej wynosiła z wagonów, co się dało, nawet osobiste pamiątki, zdjęcia, bibeloty i biżuterię. Nie byłem nigdy uświadomiony politycznie, ale wydawało mi się, że żołnierz polski nie może być zwykłym kryminalistą. Odezwałem się do stojącego najbliżej, był nim właśnie Rosiak, który potem osiedlił się w Słupsku, a następnie w Rydwankach. Byłem po demobilizacji, miałem na sobie ten sam szynel, w którym leżałem przed lufami Volkssturmu: chłopie jak to tak, przecież my, żołnierze armii ludowej, nas się nie okrada, no bo niby z cze-

działem kilka tygodni, ale do niczego się nie przyznałem. Należało im się, nie ma co. Nie udzielałem się nigdy w żadnej organizacji, nie byłem przodownikiem, pozostawałem w cieniu przez całe życie, bałem się o żonę i o was. Ci panowie mieli wystarczającą długie ręce i mogli wszystko.

Biały citroen stał długo na poboczu, z radia płynęła radosna muzyka, stali pod drzewami, więc nareszcie odczuwali trochę chłodu, miły delikatny wietrzyk pieścił jego twarz. Minęła właśnie trzecia godzina, to szósta godzina ich jazdy, jeszcze trochę i będzie po wszystkim, minie czas wspomnienia, będzie teraz, obecne pamiętanie.

Kilometry ginęły bezpowrotnie w strudze spalin, młody zatrzymał samochód na leśnym parkingu siedemdziesiąt kilometrów przed Sieradzem. Przyjemny chłód lasu nie od razu udzielił przybyszom orzeźwienia, wyciągnęli kanapki, konsumowali powoli, bez apetytu. Gorący wywar z termosu wydawał być się nie stosownym w tej chwili. Gorąca szosa unosiła i opuszczała powoli pędzące auta, w rozgrzanym powietrzu kipiała wrzawa różnokolorowych modeli. Obserwowali wyjazd z parkingu w milczeniu, przesięk w zwartej zielonej formacji. Stary człowiek był wyraźnie zmęczony, podparł dłońmi głowę i patrzył bezmyślnie w dal, przymykając powieki.

Teren, którymi- jali po obu stronach, rozlewał się szeroką falą żółtej połaci rzepaku, gdzieś tam przeplatał się z ciemną barwą przeoranej ziemi. Dłuższa prosta, samochód wyraźnie przyspieszył, nie musiał przez jakiś czas

na przeczesywanie terenu, nie jadłem od dwóch dni nic poza kilkoma ziemniakami. Chleb i tuszonkę otrzymałem tuż przed wyjazdem na akcję, kilka minut potem doszło do ostrzelania naszych samochodów, kilku naszych zginęło na miejscu. Ja i Staszek wraz z większą grupą zdołaliśmy się ewakuować do pobliskiego lasu, a potem na te cholerne moczary. Dzisiaj boję się, lecz inaczej, boję się po pstrokońsku, a jednocześnie pragnę tam być. Tyle razy obiecywałem sobie, że tam wreszcie pojedę, nawet wtedy, kiedy zmarła Gienia, też chciałem jechać, zabrakło mi odwagi, jak wtedy, aby pokonać własny strach. Dobrze, bardzo dobrze się stało, muszę te wszystkie niechciane postawić pod murem i rozstrzelać raz na zawsze, mogę zrobić to tylko tam.

Zapanowała cisza, młodszy mężczyzna delikatnie położył dłoń na ramieniu, ten odrzucił ją prawie natychmiast. Nie znosił litości, czułych scen, cikliwości. Co-

go. Któryś z nich usłyszał, dostałem kolbą karabinu w ramię, tak że odrzuciło mnie z nasypu. Pozostali widząc co się stało, rzucili się w mojej obronie, i wtedy się zaczęło. No, bo jeśli nie masz nic i jeszcze z tego próbują ciebie okraść, to tak naprawdę nie masz nic do stracenia. Było ich czterestu, osadników około siedemdziesięciu, nawet baby lały tych durni czym popadło. Rozbroiliśmy podłą formację w parę minut, rozgoniliśmy w samych gaciach po okolicy, broń i ubowski łazik spłonęły zaraz potem, gdy pociąg ruszył w dalszą drogę. Chyba wtedy nie do końca zdawaliśmy sobie sprawę z konsekwencji, jakie nam mogły grozić za napast, jak się później okazało, na regularny oddział wojska polskiego, kontrolującego składy jadące na zachód w poszukiwaniu akowskich żołnierzy. No cóż, stało się, obeszło mnie to bokiem, tylko ja i Rosiak wiedzieliśmy o tym wzniesieniu. Wielokrotnie wzywano mnie do UB, kiedyś nawet sie-

wyprzedzać, wymijać, hamować.

- W czterdziestym piątym, gdy stacjonowaliśmy na przedpolach Jeleniej Góry w jakiś dawnym majątku rolnym, my, żołnierze ludowej armii, uczestniczyliśmy w akcji obsiewania pól. Była ciepła wiosna, popołudniowy skwar dokuczał nam w równym stopniu, jak obecnie, zdjęliśmy szyniele i przybraliśmy szare płachty, które na pewien czas stały się naszym nowym ubraniem. Szliśmy tyralierą, rozrzucając wokół pociski pokojowej armii w świeżo zaoraną ziemię. Okoliczna ludność przyglądała się nam z zainteresowaniem. Dopiero, gdy na drugi dzień przyjechał pełnomocnik okręgu Dolnego Śląska i z jego rąk otrzymywali akty nadania ziemi, przestali się przyglądać, przynosili na pola zimne mleko i świeżo upieczony chleb, czasem ziemniaki ze skwarkami słoniny. Wtedy popłakałem się jak dziecko, i nie dlatego, że byłem głodny, chleb i mleko przypominały mi dom.



Samochód płynął po piaszczystej drodze wsi Pstrokonie, zostawiając za sobą tumany kurzu i zainteresowanie mieszkańców, okupujących jedyny sklep. Było po dwudziestej. Przekroczyli rubikon wału przeciwpowodziowego, w tym miejscu samochód zatrzymał się niespodziewanie, ginąc w szarej poświacie. Starszy długo nie opuszczał wnętrza samochodu, prowadząc obserwację w milczeniu, jak rasowy strateg oceniający sytuację na froncie z dobrze umocnionego bunkra. Tego najważniejszego domu nie było, nie mógł się pomylić, stał zaledwie kilkanaście metrów od wału, dach był kryty gontem z małymi wysepkami mchu, jego monstrualność przypominała kontury ścian z małymi oknami. Mówił, że miejscowi opowiadali jak tamtej wiosny, w dwudziestym czwartym, kiedy się urodził, przyszła wielka woda, ale chałupy nie zalało. Opowiadali potem, że to przez narodziny. Niechybnie zmiotł go wichher historii, porwał cyklon czasu, którego tak się bał. Pojawiły się wspomnienia gorzko-kwaśno-słodkie, na nowo stanął przed koniecznością ponownej weryfikacji wszystkiego, co dawno już zaszufladkował, poukładał i zarchiwizował. Stali obok siebie dłuższą chwilę wpatrzni w puste miejsce, które było wszystkim, co nierozwralnie związane z dzieciństwem i młodością, osadzone w konturach nieistniejących ścian, chałupą drobnych wyrobników, uprawiających zaledwie dwie morgi ziemi, z których sterczały niedostatek i bieda, wzywał głód na przednówku i wpychał się do wnętrza domu, zawłaszczając żołądki i tylko wisząca nad kaflową kuchnią większa połać słoniny rozświetlała półmrok, dając nadzieję na lepsze.

Deszczowy poranek leniwie budził się do życia, tik, przeskoczyła cyfra elektronicznego zegarka. Podkrążone oczy były jeszcze bardziej bezsenne, łyk świeżo zaparzonej kawy, kilka kęsów śniadania przekniętych od niechcenia, krótka poprawa wizerunku - więc teraz to najważniejsze - pomyślał starszy.

W wieku czternastu lat zrywał się wcześniej rano, aby biec co tchu do majątku przy pałacu, zaprząć parę koni. Pomagał Jacentemu, zaczepiał dużą beczkę na wodę, aby za kilka chwil znaleźć się koło stawu. Później jechali w stronę stodoły, w której stała dużych rozmiarów maszyna parowa, swoiste monstrum pożerające hektolitry wody. Tę czynność powtarzał kilkakrotnie. Matka przed wojną służyła u dziedzica, pracowała w kuchni, więc niekiedy przynosiła coś do zjedzenia, na ogół jednak musiała wystarczyć kartoflanka. W późniejszym okresie, wtedy kiedy do wsi weszli Niemcy, matka trafiła do pracy w chlewni, a on przez całą okupację pracował, obsługując beczkowóz. Ojciec zmarł na krótko przed wybuchem wojny, powoził pojazdem dziedzica.

Wieś Pstrokonie znalazła się po wybu-

chu wojny w granicach terytorium poligonu żywnościowego, zasilającego niemiecką armię. Toteż już w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku trwały negocjacje z rządem niemieckim nad zasadniczą kwestią odszkodowań dla ludności tubylczej. Dla uregulowania wierzytelności pobytu na tym obszarze w czasie wojny, starszy mężczyzna musiał przedstawić dwóch świadków. Jednym z nich był Polak, oprawca w owczej skórze, służący okupantowi jako nadzorca podczas wojny. Starszy poczuł się źle, usiadł i rękoma zasłonił twarz, powtarzał w kółko: - Jeszcze to, niewiarogodne. Często nie żałował bata, pięści i wyzwick. Któregoś dnia, gdy zasnęłam do pracy, nadzorca postawił mnie przed szeregiem przestraszonych ludzi, bijąc batem do krwi na oczach matki - powiedział ukrywając twarz w dłoniach. - Znam go, sądziłem, że już dawno nie żyje, że nie będę musiał go oglądać, że wreszcie wspomnienia dadzą mi spokój, ale widać i temu muszę sprostać.

Po złożeniu odpowiednich formularzy, odpoczywali w zaciszu hotelowych pokoi.

Domek nie wyróżniał się niczym szczególnym, przyjemna elewacja, zadbane fronton budowli, niewielki przydomowy ogródek i różana alejka wyłożona chodnikowymi płytkami na wprost ogrodowej furtki. Nagle drzwi zaskrzypiały złowrogim: Czego? Wybiegł pies, a za nim wyloniła się zgarbiona postać starego człowieka. Był po osiemdziesiątce, nierównomiernie przesunął się bez wyrazu po betonowej rzeczułce alejki, wymacując grunt drewnianą laską. Młody zlustrował starczą twarz, widział oczy bez wyrazu w akcie zapomnienia, bez skruchy, dobrotliwości, wymiaru rozgrzeszenia ze wszystkiego, niepokojące na widok każdego obcego, czulego na każdy nawet najmniejszy gest. Przyglądał się piętnu oprawcy, mamidłom minionego czasu wlepionym w podkrążone oczy, pytania bez słów, które nigdy nie padną. Pies obszczał dokładnie intruza i najwyraźniej mając dość, warczał. Odszedł szybkim krokiem ze wzrokiem oskarżającym.

Dzień następny był rozstrzygającym. - Muszę to zrobić, muszę się zmierzyć. Postawię je teraz wszystkie twarzą do wagonu i okradnę ze wszystkiego, żeby były puste, wypalone, wyblakłe i tak jałowe, aby już nigdy nikomu nie zagrażały. Żeby mózg, każdy mózg ich nie akceptował, odrzucił jak archaiczny przedmiot, przedmiot z przeszłości, której przecież nie można się pozbyć.

Citroen wjechał na chodnik przed różaną aleją. Zachodził w głowę, jak przebiega rozmowa ofiary z katem, układał scenariusze, tworzył narrację, budował dialogi i dramaturgię spotkania. Zasłaniając się starczą demencją zrehabilitowany oprawca wyraził jedynie zgodę na złożenie podpisu pod wnioskiem o odszkodowanie. Dylemat drugiego świadczącego rozwiązał się sam,

gdy znajdujący się w potrzebie najwidoczniej stały klient wiejskiego sklepu w podobnym wieku, za, nazwijmy to przysługę, gotów był pójść wszędzie tam, byleby akurat w tej dramatycznej dla niego chwili ktoś wsparł jego podłą egzystencję drobnym datkiem pieniężnym. Poobiednie słońce podgrzewało zapomniany kolor bieli ściany czegoś, co kiedyś można było nazwać chałupą, a z pewnością było codziennym barłogiem. Domostwo o zrujnowanych ścianach i zapadającym się dachu przypominało groteskowe obrazy Muncha.

Trzecie słońce wstało nadzwyczaj szybko. Chichot losu zetknął ofiarę, kata i przypadkowego pijaczka w trójkę osób zależnych od siebie, wzajemnie chroniących interesy egzystencji ludzkiej, uwikłanej w wojnę i w latach po wyzwoleniu, z rysą na lustrze odbijającą promienie słoneczne, wzbogacając i ucząc się żyć z tym, czego już nie uda się zmienić własną tożsamością. Starzec zajął miejsce na tylnym siedzeniu, rozpoznał wczorajszego przypadkowego przechodnia. Widział już przedtem to oskarżycielskie spojrzenie wielokrotnie w czasie procesu i potem, gdy zamieszkał w mieście. To spojrzenie, gorące od złości, którego nie potrafiły ukryć młode oczy. Siedzący na przednim siedzeniu mężczyzna, pogrążony w myślach, wybaczyć mógł jedynie sam sobie, jemu nie potrafił za to, że wredność losu zetknęła ich znowu. Czy przemknęła mu przez głowę myśl o zemście? Gdyby jednak tak, to na kim miałby się mścić, na cielesnej powłoce wraku człowieka z podobnie starą jak on drewnianą laską? Na własnym losie wiejskiego chłopaka, któremu wcześniej odebrano dzieciństwo? Na wspomnieniach, których widmo prześladowało go przez całe życie? Na niemieckich okupantach, którzy rozwiali z latami oczekiwania na zadośćuczynienie? Lecz, co komu z tego przyjdzie, kto więcej zyska, a kto straci nieodwracalnie wszystko? W kąciach oczu czały się łzy, widział wdzięczność spod opadłych powiek w bezbarwnej twarzy.

Jechali w milczeniu, tylko wiatr wcielał się w rolę prokuratora i jęczał przez uchylone okna. Starszy mężczyzna nie zwracał uwagi na drogę, patrzył daleko przed siebie nieobecny wzrokiem. Z pewnością jest teraz w Pstrokonie swojego dzieciństwa przy boku czulej matki, nad grobem wcześniej zmarłego ojca, zapewne biegnie po piaszczystej drodze, mijając poletka dorodnego żyta do Stróżna na pyszne racuchy u dziadków. Zawędrował nad staw i pomaga wiadrami nalewać wodę do dużego zbiornika, a potem idzie wyczerpany skrajem pola do domu, gdzie zawsze było ciepło, gdzie pomimo panującej biedy było co zjeść, gdzie była najlepsza z miłości.

Siedem lat później starszego mężczyznę o imieniu Jan zaniesiono na cmentarz, był nim mój ojciec.

Czesław Kowalczyk, Słupsk

Wieża Babel

Rozmyślał (na swój użytek), że w historii ludzkości najwięcej dzieci musiał mieć - Judasz. Jego geny migrują w kolejnych pokoleniach

Głowa powinna żyć razem ze swym własnym ciałem, a już na pewno z adekwatnym ubiorem do reprezentowanej pozycji społecznej. Ze wszystkich klas, warstw czy grup społecznych, czytelna ostała się tylko grupa emerytów i rencistów. Przymierzając się do tej roli, zafundowałem sobie typową dla tej grupy społecznej kamizelkę kuloodporną (na ciosy losu) z licznymi kieszonkami, suwakami, nawet z przegródkami na potencjalne naboje. Pozostałe części garderoby „wygospodarowałem” od wnuków. Kamizelkę, „bejzbolówkę” i buty typu „junior” - potraktowałem jako pełnoprawne przyzwolenie do zajmowania ławeczek wśród innych seniorów, choć niejedną z nich, pomimo wieloletniej pracy dla przyszłych pokoleń, nie dorósł jeszcze do teraźniejszości.

Pokolenie „wcześniej urodzone” - choć od ponad dwudziestu lat żyje w wolnym kraju - dziwnie przyjęło „zasadę ograniczonego zaufania” do wszystkich i wszystkiego. Zagadnięty przeze mnie właściciel innej kamizelki na pytanie, co nowego u pana? - odpowiedział: - A u pana? Resztkami nadziei na ludzką rozmowę zapytałem: - Dawno pan na emeryturze? W odpowiedzi usłyszałem: - A pan? Zamilkłem pokonany, tym bardziej, że kątem oka spostrzegłem ożywczego zadowolenie u mego adwersarza.

Naszą „kwaterą główną” był niewielki skwerek obok wieżowca z trzema ławeczkami i piaskownicą. Resztę majątku stanowiła zjeżdżalnia i koniki na sprężynach. Rozmowy nasze były lakoniczne, a uwagi formułowane wręcz w żołnierskim stylu. (Służbę wojskową odbyliśmy w Ludowym Wojsku Polskim, stąd wojskowa terminologia). - Po ile? rzekł szperacz - zwiadowca z czujki przedniej. - Dziś jest lipcowe święto, to po dwa złote - zaproponował szperacz boczny. Po krótkiej naradzie, wyznaczaliśmy byłego żołnierza OTK - do zaopatrzenia nas w napój energetyzujący (czyt. ćwiarteczka „żytniej” na sześć osób. Dla zdrowotności.). - Ja dziękuję - odrzekł były funkcjonariusz porządku publicznego. On zawsze miał swój napój i to o zagranicznej nazwie.

Wiarygodne wspomnienia uprzytomnił nam jedyny wśród nas uczestnik wojny. - Pamiętam - mówił - wszyscy byliśmy mało „gramotni”, choć wszyscy w możliwy sposób walczyliśmy z okupantem. Walczy-

liśmy wtedy o naszego Orła - Polskę, także pokojowe życie i chleb dla naszych dzieci. Przede wszystkim! Ideologie były nam obce. Byliśmy ludźmi najbardziej ofiarnymi, walczącymi nie tylko z okupantem, ale i z egzystencjalnym cierpieniem.

Sluchając - podziwiałem jego uwagi z szacunkiem, bo to także dzięki takim jak on - mogę myśleć, mówić i pisać po polsku!

O ile nasza grupa społeczna (obsiadająca ławeczki) była z ubioru czytelna, to dla przechodniów w wieku produkcyjnym - nieobecna, jakby nasze czapeczki z daszkiem i typową gumką z tyłu, miały właściwości „czapki niewidki”. Bardziej intrygująco - jak zawsze - prezentowały się nasze współmałżonki. Żeby rozweselić swoje wnuki, wystrojone były w stylu „Barbie”, „Księżniczki Czardasza”, „Wróżki”, „Cyganki Carmen”, nawet „Damy Kameliowej”. Na związanych smyczach utrwały odruchy warunkowe piesków (wg Pawłowa). Zauważyłem, że odruchy warunkowe najbardziej utrwalił sobie przechodnie, bo bez jakichkolwiek pretensji - jak w grę „gumkę” - pokonywali rozciągnięte przeszkody wzdłuż chodników. Czynili to ze zrozumieniem - być może - ze współczuciem, pojmując, że pieski te są jedynym wspomnieniem życia na wsi, ograniczonego opłotkami. Wszyscy bowiem pamiętamy jak trudne, ale piękne było to życie. Odpowiedzialne od świtu do zmroku. Bez weekendów i dni wolnych od pracy. Zawsze zachwyciałem się tym fenomenem, że rolnik, ziemia, zwierzęta, praca, rodzina, samokształcenie, Ojczyzna - była wszechobecną jednością i odpowiedzialnością. Obowiązkiem i satysfakcją. Hasło „Żywią i bronią” - znamy nie od dziś.

Ożywieni napojem energetyzującym, przywróciliśmy ułańską fantazję, także przyjazną atmosferę. Konie i kobiety, to temat wiecznie żywy.

Pierwszy zagadnął uczestnik Batalionów Chłopskich: - Moją żonę nazywam „hawajską gitarą”. Płacze o tylu dolegliwościach, że do pokoju najpierw wjeżdża osiemdziesiąt siedem chorób, później - ona. Cóż - jak mówi powiedzenie: Kto choruje? Żona! Kto umarł? Mąż!

Następnie odezwał się drugi - miejscowy „rasputin”: Mając lepszy kontakt niż

pan Dulski, chodzący na „Kopiec Kościuszki”. - Ja - wspominał - usiłowałem pokonać dalsze trasy, bo z „laską”. Trzymałem ją tak kilka miesięcy. Chodziłem z nią, chodziłem, a jak się zmęczyłem to się położyłem (choć zapomniałem po co). Wtedy nosiłem różowe okulary. Wówczas, nawet „Warszawianka z 1905 roku.”, choćby „międzynarodówka”, zdawała się być - jeśli nie „różową panterą” - to „różową landrynką”. Przy odrobi-



Fot. J. Maziejuk

nie wyobraźni, nawet „dziewicą orleańską”. Śpię wtedy smacznie, bo lubię słodczyce. Któregoś dnia - kontynuował - mój błogi sen zakłóciły częste fałsze w wykonaniu mojej „laski”, kiedy przez komórkę śpiewała komuś „Stary niedźwiedź mocno śpi”, a zaraz potem „Więc choć pomaluj mi świat na żółto i na niebiesko”. Tak skończyła się moja senna biografia w krajobrazie złudy. Zmieniłem okulary na czarne i udałem się do sklepu rehabilitacyjno-sportowego, żądając: dwie kule lub kij bejsbolowy!

Najbardziej kontrowersyjnie zachował się jedyny stary kawaler w naszym gronie: - Gdyby tak dziś zamiast „świadczenia dojrzałości” wręczać „świadczenie moralności”, to kto by je dostał? No, chyba że moja znajoma, która prowadzi się bez zarzutu, a z moralnością nie ma nic wspólnego.

O ile z kobietami układało nam się różnie, to nie mogę nie pochylić czoła przed rodakami za ich pietyzm w traktowaniu - konia. Pożytek i piękno koni było bezdyskusyjne. Wśród całego dobytku, koń stanowił najcenniejszy majątek. Od wieków też był uosobieniem piękna, gracji, finezji. A więc walorów i cech charakteru, które chciałby widzieć każdy mężczyzna w swojej partnerce, a każda kobieta - w swoim partnerze. Najstarszy z nas wspominał, że w okresie międzywojennym był parobkiem i tak kierował troskliwie uwagi do dziedzica: - Panie dziedzic, wież pan łeb, bo koń głową uderzył! Albo: - Panie dziedzic, weź pan kulas, bo koń nogą nadepnie! Wszystkim nam zakreśliła się iza. Za koniem - oczywiście. (Nie za dziedzicem przecież, bo wszyscy jesteśmy dziedzicami.)

Z rozmowy o kobietach i koniach, przeszliśmy do dywagacji - niespodzianek związanych z naszym ewentualnym pochodzeniem. Przypadek milczącego dołączył towarzysza - zabełtał nam w głowach do reszty. - Byłem - mówił - niedawno na wycieczce turystycznej po kraju. Między innymi zwiedzaliśmy pałac, którego właścicielem i przewodnikiem był potomek hrabiowskiej rodziny. Pamiętałem mgliście tę magnacką posiadłość, bo i nasza rodzina była kiedyś w tamtych stronach - pracownikami folwarcznymi. Zajęty z innymi turystami zwiedzaniem, nie zauważyłem nawet jego fizycznej bliskości. Pan hrabia i ja na swój widok - oniemieliśmy! Byliśmy bliźniaczko podobni! Hrabia „politycznie” odzyskał głos pierwszy: - „Przepraszam pana, czy pańska babka nie była czasem pokojówką na naszym dworze?” - „Nie, - odrzekłem zgodnie z prawdą - ale mój dziadek był woźnicą”.

Okazuje się, że nie powinniśmy być pewni - ani swojego pochodzenia, ani korzeni etnicznych. Być może jesteśmy potomkami „ofiar” lub „dzieci szczęścia” w wyniku przemarszu wojsk napoleońskich, niemieckich czy radzieckich. Ale i my też mamy swój udział w rozwoju populacji w tamtych czasach. Dzisiaj też rewanżujemy się z własnej woli, to „roboty przymusowe” wykonujemy ponad normę. Nie tylko muzyka, ale i miłość - nie zna granic. Pierwszy raz zdaliśmy sobie sprawę z kosmopolitycznego charakteru naszego wieżowca, i że już daw-

no zornie okazywać radość z nieoczekiwanego spotkania, choć założone „dioptrie” też nie pomogły personalnej identyfikacji wnucząt. Jedynym naszym ratunkiem było głośne artykułowanie ich mityczno-historyczno-egzotyczno-idiotyczno-brzmiających imion. Nie powtórzę. Powiem tylko, że były to imiona, które kiedyś nosiła śmietanka arystokratyczna, z Persji, Egiptu, Mongolii, Turcji, Rzymu, Konstantynopola, Carskiej Rosji i Cesarskich Niemiec. Artykułowane przez nas imiona wnucząt, przeplatały się z imionami ożywionych piesków, do których przyćepione były na smyczach nasze żony



no jesteśmy - jeśli nie obywatelami świata - to na pewno Europy. Nasza tożsamość to być może - genetyczne „esperanto”.

Nieoczekiwanie w stronę naszej „kwatery głównej” zbliżała się rozbawiona grupa wnuczków, płynących na deskorolkach, rolkach, tudzież innych wymyślnych urządzeniach, przekraczających dozwoloną normę decybeli. Trudno nam było ich zidentyfikować, nawet płęć (co najwyżej po tatuażach). Dredy, kolczyki zainstalowane w miejscach dla nas niewyobrażalnych, opaski, fryzury i stroje - wszystko to biło na łeb słynny karnawał „Samby” w Brazylii.

Na wszelki wypadek pośpiesznie ukryłem swoją kamizelkę do reklamówki z obco brzmiącym napisem, reklamującym nazwę supermarketu. Stojąc między „młotem a kowadłem” - czy jak kto woli - „wódką a zakąską” postanowiłem kontynuować praktyczną lekcję przedmiotu „Wiedza o społeczeństwie”. Babcie (z pieskami) i dziadkowie (z reklamówkami) poczęli prze-

-być członkinie „koła gospodyń wiejskich”. Ich pieski też miały arystokratyczne tytuły, np.: Lord, Baron, Rex czy Cezar. My - właściciele kamizelek - na wszelki wypadek postanowiliśmy opuścić czasowo naszą „kwaterę główną”. Pomagali nam (prowokacyjnie, może z nudów) wnuczki - ostrzeliwując nasze kamizelki nabojami typu - „Tic Tac”. W poczuciu zagrożenia zjednoczeni - posłużyliśmy się „ciężką artylerią” - tanimi bananami, którymi próbowaliśmy przekupić trzecie pokolenie. Jak zwykle trafiliśmy „kulą w płot”, bo oni woleli - walutę.

W tzw. międzyczasie, w wolnych mieszkankach naszego wieżowca „urzędowały” dorosłe dzieci kombatanów. Urodzone zaraz po wojnie, nawykły do ciężkiej - „być albo nie być” - pracy na roli, dziś też szukają zajęcia. Część z nich pracuje nad projektem „Aktywne formy przeciwdziałania bezrobociu”. No bo jak uchronić się przed poczuciem nicości? Za komuny siedzieli w „piekle”. Teraz siedzą w „niebie”. Ale też siedzą. Nie chce im się nawet fruwać, bo

wszystko dobre samo przyfrunęło do nich. Wprawdzie nie doczekali się jeszcze majątku typu: „Wino, kobieta i śpiew” (choć smoking kupić może sobie każdy), więc zawsze pod bokiem jest „dziółcha, ćwiara i gitara”, także nieaktualny już przebój narodowy: *„Słyszysz Pamela ten śpiew i dźwięki gitar? To śpiewają chłopcy z naszego puebla. Głód wypędza nas z tego pustego stoku Na którym rosną tylko kolczaste opuncje. Może w dalekim mieście znajdziemy odrobinę chleba i odrobinę szczęścia”*.

Kłamał jak z nut. A że „Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy”, więc zmienił im repertuar:

„Niech żyje wolność. Wolność i swoboda. Niech żyje zabawa i dziewczyna młoda”.

Zastanawiam się, dlaczego dziś jeszcze (spełnione marzenie o wolności i demokracji, i to od 22 lat) nie zadawała wszystkich. Przyporównam (na swój użytek) zmianę ustroju, do zmiany stanu cywilnego. To tak, jakby mężczyzna ożenił się i to z miłości - a potem wymawiał żonie, że je coraz więcej, kosztuje go coraz więcej, i że często ma „migrenę”. Oczywiście można wziąć rozwód, ale to jest zbyt kosztowne i już niemożliwe. Poszlibyśmy wtedy z torbami, już tylko - pustymi. Lepiej więc zostać „pantoflarzem”, ukrywając się pod zmienionym nazwiskiem, np.: „Pan Tofel” lub „Pan Tareii”. Płyniemy sobie wtedy z nurtem rzeki (beziemiennie, incognito) do miejsca przeznaczenia - oddania długu - Naturze. Ona daje wszystko, ale i wszystko zabiera.

Wróćmy jednak do spotkania dziadków z wnukami. Zagrożenie potencjalnej wojny „polsko-polskiej” narastało z każdą chwilą. Tym bardziej że jakiś rezolutny młodzieniec prowokował nas, licytując się z kolegami, który to ma głupszego ojca. (Zabolało nas to, bo w końcu ich ojcowie - to nasi synowie). - Mój - mówiąc do kolegi z dużej odległości - jest tak głupi, że nadal uważa, że istnieje „śmierć naturalna”. Każdy rozumny człowiek wie, że śmierć jest skutkiem dysfunkcji jakiejś części organizmu. Dotyczy to każdego, bez względu na wiek. Ciekawe, czy śmierć głodowa milionów ludzi (również dzieci) w krajach tzw. Trzeciego Świata - ci obłudnicy też nazywają „śmiercią naturalną”? (Z uwagi na podwyższone ciśnienie, także debilne miny, jakie na naszych twarzach wyeksponowała ta uwaga - poczęliśmy się wycofywać do naszego „mrówkowca” i dla zmyłki nucąc „Winda do nieba”). Na odchodnym zakrzyknęliśmy: „Bóg - Honor - Ojczyzna”. Szczeniaki zrewanżowali nam się: „Śniadanie - Obiad - Kolacja”. Wycofując się - nie dając za wygraną - raz jeszcze zagroziliśmy: „Zbudujemy nową Polskę!”. Oni odpyskowali: „Wykopimy nową Wisłę!”. Resztkami sił przypomnieliśmy smarkaczom, że jesteśmy członkami Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. To też ich nie przekonało - A nasi rodzice należą do „Związku Bojowników o Wygody i Dochody”.

Tylko ostatni kombatan, który miał jeszcze siłę mówić, wyszeptał: „Przeżyliśmy okupację - przeżyjemy demokrację”. Z konieczności - nastąpił rozejm. Do jutra.

Trudno się dziwić dzieciom, bo wojnę znają tylko z filmów „Gwiezdne wojny”, (gdzie rycerz Jedi walczył z siłami „ciemnej strony mocy”). To jest ich „Wejście Smoka” w dzisiejszą zwiariowaną cywilizację. Wątpię, czy prędko poznają bezpośrednich świadków („Ludzie ludziom zgotowali ten los”) - Zofię Nałkowską, Tadeusza Borowskiego, czy Władysława Broniewskiego.

W psychice ludzkiej występuje często zjawisko „przeniesienia” lub „zaprzeczenia”. To pierwsze pojęcie świadczy - moim zdaniem - o zdrowszej i uczciwszej psychice. W każdym gospodarstwie rolnym znajdował się kiedyś pies - kundelek, uprzedzający szczekaniem potencjalnego gościa. Pełnił nie tylko pożyteczną, ale i sympatyczną dla dzieci funkcję. Był: domofonem, dzwonkiem, pastuszkim, zawsze też stanowił maskotkę dla całej rodziny. Takie dzisiejsze „przeniesienie” sympatii do kundelków jest normalne, uczciwe i szczere.

„Zaprzeczenie” jest zjawiskiem odwrotnym - i choć powszechnym - dotyczącym wielu sfer psychiki. Powiedzmy: pani, typu Folk, czy pan typu Contry nobilitują się posiadaniem piesków typu York, Doberman czy Owczarek. (W okresie międzywojennym, tylko zamożnych właścicieli ziemskich - często ze szlacheckim rodowodem - stać było na posiadanie unikalnych ras psów). Wynika z tego, że o naszym włościańskim pochodzeniu jedynym świadectwem okazały się modne dzisiaj rasy psów. Zjawisko zaprzeczenia dotyczy też - jak wspomniałem - klas i warstw społecznych, tożsamości etnicznej i kulturowej. Zastępowanie swoich korzeni doraźnym miejscem zamieszkania, doraźną pozycją społeczną czy majątkową - nie może zmienić naszego charakteru i mentalności. Nawet antyczne meble i zakupione w „Desie” podobizny przodków - nie są w stanie zmylić kogokolwiek - a już na pewno nie nasze wnuki, które doskonale pamiętają nas jako - kosynierów, a nasze żony jako - robotne gosposie. (Politolodzy używają w takim przypadku określenia „ludowa ary-stokracja”).

Naszym zaprzeczaniem, mataczaniem prawdy, interesownym myśleniem spowodowaliśmy, że ludzie, których poczucie narodowe jest chwiejne, skorzy są pójść tam, gdzie widzą więcej korzyści. Sprzyja temu interesowna interpretacja - globalizacji. Patrioci, którzy ze względów politycznych opuścili nasz kraj (i na początku II wojny światowej, i ci prześladowani politycznie w poprzednim ustroju) - dziwnie zmienili poglądy. Nie wracają, choć Polskę mamy wol-

ną i demokratyczną. Zagadkowi to ludzie. Wiarę mają - w Rzymie. Dzieciństwo, szkołę i rodziny - w Polsce. A sami czują się - bepaństwowo. Ich dziadowie, ojcowie przelewali krew na wszystkich frontach świata. (I i II Armia WP, Siły Zbrojne walczące na Zachodzie pod dowództwem generała Maczka, Andersa, także miejscowe ugrupowania walczące z okupantem). Nie sposób wymienić nieszczęść wywołanych II wojną światową. Wystarczy przypomnieć męczeńską śmierć prawie sześciu milionów Polaków, których tragiczny brak odczuwamy do dziś.

Zastanawiam się od lat, czy człowiek jest kochany, czy potrzebny tylko? Czy światem rządzi „cywilizacja miłości”, czy „cywilizacja śmierci”? Pytanie to potęguje śmierć około 62 milionów ludzi, którzy z powodów ideologicznych stracili życie tylko w II wojnie światowej.

Rozmyślam (na swój użytek), że w historii ludzkości najwięcej dzieci musiał mieć - Judasz. Jego geny migrują w kolejnych pokoleniach. Nadal pełno jest na świecie - sprzedawczyków, szubrawców i zdrajców. Trzeba śmierci milionów niewinnych ludzi - żebyśmy mogli cieszyć się życiem. Rzeczywistość przekroczyła granicę absurdu. Niepojęty to dla mnie paradoks.

Na wszelki wypadek (grozi mi śmierć ze śmiechu) - korzystając ze zrozumienia Wydawcy - proszę o opublikowanie mojego testamentu, następującej treści:

Wszystko co mam, tj. - moje artykuły publikowane w Biuletynie Informacyjnym Powiat Słupski - dedykuję moim trzem wnukom.

O moją śmierć, która nastąpi w 2048 roku (100 lat) oskarżam szubrawców wszelkiej maści, chamów korzennych i niereformowalnych oraz chudopachołków „swojsko” pojmujących sztukę: „Nie sztuka siedzieć. Sztuka - nie siedzieć”. Do tego haniebnego grona niech się podłączą te wszystkie „zdolniaczy”, którzy wprawdzie nie potrafią bezgranicznie kochać, ale potrafią - bezgranicznie nienawidzić!

Śmiech podobno przedłuża życie, ale żeby umrzeć ze śmiechu - i to dopiero w siłę wieku intelektualnego (100 lat) - to już przesada. Wolałbym żyć krócej i piękniej, bo bez możliwości z nimi kontaktu.

Jednocześnie (posiłkując się wierszem Juliana Tuwima „Całujcie mnie...”) wyznaczam im stosowną pokutę:

*„...I wy o których zapomniałem,
Lub pominąłem was przez litość,
Albo dlatego, że się bałem,
Albo, że taka was obfitość...”*

Upprzedzam: Heroldzi (z moją pomocą) już stroją trąby, by ich wezwać na Sąd Ostateczny, a archanioł Gabriel już hartuje miecz ognisty na ich przybycie. Wyrok odraczam do czasu spełnienia przez nich ww. pokuty. Dyskrecja zapewniona.

Klemens Rudowski, Słupsk

Zakochanie to ciągle sta

*Wbrew potocznym sądom, to nie kobiety,
a mężczyźni zakochują się częściej
i przeżywają miłość intensywniej*



Fot. W. Lipczyński

Lato kojarzy się nam z bezmiarem uczuć, z radością życia i miłością do całego świata. Rozwinięta już przyroda swoją aktywnością wypełnia słoneczne dni, w których objawia się pełna natura człowieka. Wyzwała w nas nie tylko energię do życia, ale różnorodność zewnętrznych bodźców skutkuje uległością na porywy lata - na miłość.

Czy można zdefiniować jednoznacznie to uczucie? Czy jest to tylko stan psychiczny, którego istotę stanowi relacja między wewnętrznym przeżyciem, a aktualnie działającymi bodźcami, przeszłych lub przyszłych zdarzeń i wszystkich elementów otaczającego świata oraz do własne-

go organizmu. Miłość jest stałym istotnym składnikiem osobowości ludzkiej, tak koniecznym do życia, jak pokarm, woda czy powietrze.

W miłości można wyróżnić aspekt biologiczny, psychologiczny, filozoficzny, religijny i społeczny. Pochodzenie słowa wyjaśnia nam semantyka zachowana w najstarszych przekazach historycznych. Termin „miłość” i jego odpowiedniki znajdujemy już w kulturze antycznej - przedchrześcijańskiej. W greckiej i łacińskiej terminologii jest uwzględniana z jej specyfiką i odrębnością rodzajową. W języku greckim mamy siedem rodzajów miłości, m.in.: braterską, płciową i małżeńską. W bliskim nam

języku łacińskim - mamy trzy odpowiedniki miłości: zmysłową, wyrażoną do bliźniego (miłosierdzie) i wynikającą z szacunku do osoby, uznania jej autorytetu.

Erich Fromm - filozof, psycholog i psychoanalityk w dziele „O sztuce miłości”, miłość przedstawił jako skutek poznania człowieka. Miłość omawiana przez Fromma to nie tyle uczucie, co sposób zaangażowania człowieka wobec drugiego bytu. Przekazuje on przesłanie „...muszę obiektywnie poznać drugiego człowieka i siebie po to, aby móc wiedzieć, jaki jest obraz naprawdę. Aby pozbyć się złudzeń, przezwyciężyć irracjonalny, zniekształcony obraz, jaki sobie o nim wyrobiłem. Wtedy jedynie, jeśli znam obiektywnie jakiegoś człowieka, mogę poznać w akcie miłości jego najgłębszą istotę.”

Odrębny temat stanowi pojęcie samotności i miłości. Człowiek w najgłębszych, wewnętrznych aspiracjach chce przezwyciężyć swoje odosobnienie i samotność. Świadomość swojej samotności i odrębności stanowi bezbronność człowieka wobec partnera, sił przyrody i społeczeństwa. Sposoby ucieczki od samotności i rzucanie się w wir uczuć miłości przybiera różne formy, np. w kulturach prymitywnych stan ten jest osiąganym za pomocą odurzania i wpadania w trans. Współcześnie ucieczki przed samotnością szuka się w alkoholu, narkotykach. W tym krótkotrwałym stanie egzaltacji zanika świat zewnętrzny, a z nim poczucie własnej odrębności. Po zakończonych przeżyciach następuje jeszcze większe uczucie osamotnienia, a co za tym idzie, powtarza się to samo doznanie, tylko ze zwiększoną częstotliwością. W konsekwencji doprowadza to do szybkiego „wypalania się człowieka”, a sam akt seksualny nie jest w stanie pokonać uczucia izolacji i jeszcze większej samotności. Życie pozbawione prawdziwej miłości, tej która nadaje mu sens - to monotonia i wpadanie w depresję.

Działalność twórcza jest jednym ze sposobów wyjścia z osamotnienia, osoba zespala się ze swoim tworzywem reprezentującym zewnętrzny, istniejący poza nią świat. Są to tylko częściowe rozwiązania problemu. Pełne rozwiązanie może być jedynie dzięki międzyludzkiemu zespoleniu poprzez zjednoczenie z innym człowiekiem.

Dzięki tej miłości człowiek może rozwiązać ogólny problem swego istnienia - przezwyciężyć uczucie osamotnienia. Miłość cechująca się twórczą aktywnością jest ukierunkowana na troskę, wiedzę, reagowanie, afirmację i radość.

an dziwny i zagadkowy

Czynny charakter miłości - poza elementem dawania - ujawnia się w tym, że zawsze występują w niej pewne podstawowe składniki wspólne dla wszystkich jej form. Są to: poczucie odpowiedzialności, poszanowanie i poznanie. Miłość jest aktywną siłą w człowieku, która przebija się przez mury oddzielające człowieka od jego bliźnich, siłą jednoczącą go z innymi. Dzięki miłości człowiek przewyższa uczucie izolacji i osamotnienia, zachowując przy tym swoją osobowość i swoją integralność z drugim człowiekiem. Miłość jest aktem woli, decyzji, oddania całego życia ukochanemu. W ten sposób tworzy się nierozzerwalność związku małżeńskiego.

Obecny kryzys kultury odbija się na hierarchii wartości i prowadzi do powstawania „pseudomiłości”. Powoduje to, że miłość sprowadza się do transakcji, pogoni za pieniądzem i konsumpcjonizmu. Można zacytować dzisiejsze stwierdzenia: „... nie rozumiem, kiedyś mówiłam ci o każdym moim problemie i dziś, gdy pytasz „jak tam”, odpowiadam, że dobrze, sztucznie się uśmiechając”; czy to co było i łączyło już minęło? Miłość jest działaniem wyzwalającym ogrom nieludzkiej siły, mogącej się przejawiać jedynie w warunkach wolności, nigdy zaś w wyniku przymusu lub nacisku.

Zakochanie dla ludzi to ciągle stan dziwny i zagadkowy. Budzi mieszane, wręcz przeciwstawne i sprzeczne ze sobą odczucia oraz opinie. Nauka dostarcza coraz nowszych danych na temat kochania i zakochania, a kultura przekazuje wartości ponadczasowe tego stanu, posługując się literaturą, muzyką, filmem i innymi dziedzinami sztuki.

Współcześni biolodzy i psycholodzy zastanawiają się, jak to jest z tym kochaniem i miłością? Dlaczego kochamy, na czym polega stan zakochania? Czy to uczucie jest zjawiskiem, które spada na nas jak grom z jasnego nieba, nie potrafimy mu się oprzeć i przestajemy racjonalnie myśleć? Czy będzie w nas narastać w procesie długiego poznania, w zdobywaniu wzajemnego zaufania, aż zostanie dopełnione aktem miłości? Mimo że na ten temat napisano wiele książek i publikacji, to tak do końca nie wiemy, dlaczego zakochujemy się w tej, a nie w innej osobie. Nauka stara się nam to wyjaśnić, chociaż każdy przypadek jest oczywiście inny. Badacze starają się dogłębnie przeanalizować reakcje naszego ciała i umysłu, kiedy jesteśmy zakochani. W początkowej fazie znajomości mamy do czynienia z lotnymi substancjami chemicznymi - feromonami, które są swoiste dla określonej osoby. Oddziałują

na stan naszego umysłu i wpływają na komunikację interpersonalną, w tym - na wybór partnera. Po części od nich zależy, czy dana osoba wzbudzi w nas pożądanie, namietność, czy raczej niechęć. Feromony są przekazywane do części mózgu odpowiedzialnej za nasze emocje i mimo że odbywa się to poza naszą świadomością, to w ten sposób tłumaczymy nasze zachowanie w odniesieniu do po raz pierwszy widzianej osoby, naszą do niej sympatię i zainteresowanie nią.

Czy miłość nas inspiruje, wyzwala pokłady energii i dodaje skrzydeł, czy może jest tylko objawem chemicznego otumanienia, biologiczną strategią przetrwania gatunku?

W świetle badań neurobiologów za zjawisko miłości odpowiadają konkretne reakcje biochemiczne w mózgu. Mózg wyzwala substancje chemiczne zwane transmiterami. Kiedy spotykamy osobę, która wydaje się nam erotycznie atrakcyjna, zostajemy porażeni wybuchową, biochemiczną „bombą”. Emocje związa-

ne z etapami namietnej miłości, kochania i zakochania.

Jesteśmy tak zaprogramowani, że wysoka aktywność hormonalna trwa od kilkunastu do czterdziestu miesięcy. Biologicznie jest to czas potrzebny dla poczęcia, urodzenia i odchowania potomstwa. Badania dowiodły, że zakochaniu towarzyszy zwiększone wydzielanie dopaminy (jednego z „hormonów szczęścia”) oraz wzrost stężenia endorfin.

Z okresem dojrzałej miłości wiążą się dwa inne hormony - oksytocyna i wazopresyna, które odpowiadają za bliskość i przywiązanie między partnerami. Rola substancji chemicznych wytwarzanych w organizmie w stanie zakochania jest istotna i długotrwale działająca. Odpowiada za osiąganie zadowolenia, służąc osobistemu spełnieniu.

Wbrew potocznym sądom, to nie kobiety, a mężczyźni zakochują się częściej i przeżywają miłość intensywniej. Badania wykazały, że mężczyźni trudniej się odkochują oraz bardziej cierpią, gdy miłość utra-



Fot. J. Maziejuk

ne z kontaktem z ukochanym partnerem uzewnętrzniają się w postaci mocnego bicia serca, drżenia rąk, czasami chwilowej utraty oddechu. Stwierdzono, że za uroczenie odpowiada substancja zwana fenyloetyloaminą (PEA), która nas odurza i podnieca, wywołuje podobny efekt jak amfetamina, wprowadza w stan euforii. Mózg zakochanego człowieka to naturalny „producent” narkotyków, od których nasze ciało się uzależnia. To wtedy wcho-

cą. Wynikiem tych sytuacji jest pewna liczba samobójstw wśród mężczyzn z powodu miłosnego zawodu. Opinie o płci pięknej w tym względzie stwierdzają, że kobiety są bardziej pragmatyczne i to one częściej np. są skłonne zawrzeć związek małżeński nie tyle z miłości, ile dla poprawienia swojej pozycji materialnej.

Nauki medyczne od dawna interesowały się systemem hormonalnego i psychicznego sterowania przebiegiem pro-

cesów seksualnych poprzez działanie gruczołów wydzielania dokrewnego i centralny system nerwowy człowieka. Medycyna stara się pomagać człowiekowi tak organizować swoje życie seksualne, aby było ono jak najskuteczniejszym środkiem regeneracji sił życiowych, źródłem zdrowia psychicznego i radości życia.

Najstarsze zapisy odnalezione w grobowcu egipskim, czyli tzw. papirus turyński wyliczał w formie ilustracji 12 odmian stosunku, w których można odnaleźć występujące do dzisiaj perwersyjne formy zaspokajania popędu płciowego. Pochodząca ze starożytnych Indii cała wiedza na temat sztuki miłości była przekazywana w formie podręczników, z których na czoło wybija się Kamasutra. Zawiera ona między innymi pouczenia dla kobiet (tzw. 64 kunszty miłosne), które mają zapewnić powodzenie w miłości. Dużo uwagi poświęca technice miłosnej, ale w sprawie inicjacji jej zalecenia odwołują się przede wszystkim do warstwy psychoemocjonalnej.

Z kręgu kultury europejskiej, ze starożytnego Rzymu, pochodzi Owidiuszowe „Ars amandi”. Jeden z najbardziej utalentowanych poetów epoki cesarza Augusta - Owidiusz zasłynął utworami o tematyce miłosnej. „Sztuka kochania” to poemat w trzech księgach traktujący o praktycznych jej aspektach. Pierwsza księga mówi o tym jak „...dziewczę oczarować”, druga - jak miłość pielęgnować, trzecia - dla kobiet - jak dbać o mężczyznę, aby związek był szczęśliwy. Poemat przeszedł do historii jako vademecum kochania, a sam autor był uważany za arbitra elegancji w gronie wytworzonego towarzystwa ówczesnego Rzymu.

W literaturze pięknej miłość jest jednym z najczęstszych tematów, wielokrotnie powtarzanym i wykorzystywanym jako motyw wiodący. Najwięcej utworów - poematów, wierszy, pieśni poświęcono miłości. W pierwszym okresie chrześcijaństwa stworzone zostało jedno z najwybitniejszych dzieł opiewających miłość - „Pieśń o miłości”. Jest to fragment Pierwszego listu do Koryntian świętego Pawła z Tarsu (1 Kor 13,1-13), zwanego również Hymnem do miłości. Według św. Pawła dar miłości nadaje sens i wartość wszystkim charyzmatom. Miłość to pragnienie dobra i szczęścia, to bezinteresowny dar z siebie, siła przezwyciężająca egoizm.

W twórczości klasycznej wielu autorów opisywało dzieje kochanków, którzy jako symbole na trwałe weszli do literatury światowej. Można tu wymienić Abelarda i Heloizę, Romea i Julię, Tristana i Izoldę. Na kanwie tych poematów rodzą się sentencje i przysłowia („Śmierć nie rozdzieli co miłość spoi”; „Zakochani są jak szaleńcy”). Szczególnego znaczenia pojęcie miłości nabiera w okresie romantyzmu. Była to szczególnie epoka w historii literatury i sztuki. Twórczość tego okresu cechowała się poszukiwaniem idealnej miłości. Autorzy przed-

kładają emocje, uczucia nad rozum. Bohaterowie romantyczni cechują się nieprzećiętnością, buntują się przeciwko zastanej rzeczywistości i obowiązującym normom społecznym. Dla bohatera romantycznego najważniejszym uczuciem jest miłość, zwykle nieszczęśliwa i tragiczna, zawsze jednak wszechogarniająca i potężna. Przykładem jest dzieło Goethego z 1774 roku „Cierpienia młodego Wertera”.

Czołowi polscy romantycy (Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Cyprian Norwid czy Zygmunt Krasiński) swój talent zaangażowali w opiewanie miłości, wykorzy-



Fot. J. Maziejuk

stując również osobiste doświadczenia w tym zakresie i przenosząc do tworzonych poematów, sonetów, ballad. Miłość Mickiewicza do Maryli Wereszczakówny jest przez badaczy literatury postrzegana nie tylko jako osobiste uczucie poety do wybranki serca. Odniesć można wrażenie, że bardziej od osoby wybranki poeta kocha swoją miłość do niej.

Idealną formą wyrażania uczuć w epoce romantyzmu była muzyka. Przykładem

może być twórczość Fryderyka Chopina, Schuberta, Schumana, Mendelssohna Bartholdiego i wielu innych. Kontynuatorem tego stylu w XX wieku był S. Rachmaninow. Muzyka romantyczna często zawarta jest w ścieżkach dźwiękowych filmów i sztuk teatralnych.

W malarstwie za artystę najlepiej wyrażającego idee romantyczne uważany jest niemiecki pejzażysta Caspar David Friedrich. Jego malowane nokturny, przedstawienia ruin, cmentarzy, roztrzaskanych statków, świtów i zmierzchów, doskonale oddają cechy epoki. W Polsce wybitnym malarzem romantycznym jest Piotr Michałowski. Piękne polskie erotyki przedstawił Młodej Polski - Asnyka, Leśmiana, Lechonia, Staffa, Przerwy-Tetmajera i innych - mówią o miłości namiętnej, bezgranicznym kochaniu i oddaniu.

W dorobku literatury napisano wiele książek i filmowych scenariuszy poświęconych miłości. Szczególną stosowaną tu formą literacką jest melodramat. Schemat miłości w melodramacie to: miłość + przeszkoda nie do pokonania generująca cierpienie. To film o miłości trudnej lub niemożliwej do spełnienia. Inną odmianą jest komedia romantyczna. Tu również jest miłość i przeszkody, ale te przeszkody zostają pokonane i finał jest szczęśliwy (happy end).

Uogólniając, można stwierdzić, że sztuka zawsze była inspirowana zjawiskiem miłości we wszelkich jej przejawach. Bez miłości ludzkość nie mogłaby istnieć ani jednego dnia. Kochać i być kochanym jest wypełnieniem naszego codziennego życia. Cytując J. W. Goethego można stwierdzić, że „...życie bez miłości to czarodziejska latarnia bez światła”. Angielski poeta Samuel Daniel nazwał miłość straszną, nieuleczalną chorobą.

Badania psychologiczne dowodzą, że nie ma chyba osoby, która przynajmniej raz w życiu nie doświadczyła romantycznej miłości. Inne badania świadczą o tym, że w każdej kulturze, w dowolnym momencie zakochanych jest od 50 do 60 proc. przedstawicieli obu płci.

Wzorcem jest stan, gdy spotykamy duchowego partnera i połączy nas miłość romantyczna. Będzie to wzajemne dopełnianie się, poczucie nierozzerwalnej więzi i przekonanie, że razem pokonamy wszelkie przeciwności. Pięknie wyraził to francuski pisarz Antoine de Saint Exupéry pisząc: „...Kochać, to nie znaczy patrzeć na siebie, tylko patrzeć razem w tym samym kierunku”.

Miłość jest ślepa, a wszelkie teorie o kochaniu, mimo głębokich uzasadnień, nie zawsze przylegają do określonej, naszej sytuacji życiowej. Dokonując wyboru partnera do zakochania i kochania musimy starać się znaleźć złoty środek - polegający na tym, by nie wyłączając rozumu, patrzeć w swoje i partnera serce.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Nowe dzieło podjęto w całym kraju z wielkim zapalem, także były też związane z nim nadzieje. W miastach portowych - Stralsundzie, Greifswaldzie, Gdańsku czy Szczecinie - zaczęły powstawać specjalne komitety, które zbierały środki od prywatnych darczyńców, by wspomóc rząd w realizacji przedsięwzięcia



Flota wojenna Prus do 1867 roku

W Prusach już w 1818 roku myśłano o flocie wojennej, jako o ewentualnej ochronie wybrzeży przed wrogimi atakami, lecz zamysły te upadły wskutek braku pieniędzy. Powrócono do tych planów w osiemnaście lat później, w roku 1836, tworząc komisję doradczą, która miała zająć się przygotowaniem nowych odpowiedzi na liczne związane z tym pytania. Komisja ta zaleciła budowę odpowiednich umocnień brzegowych oraz utworzenie małej floty. Założono budowę pewnej liczby kanonierek wiosłowych oraz holowników w ilości po jednym na każdych sześć owych kanonierek, a także pewnej ilości żaglowych okrętów szkolnych. Na drodze do realizacji założeń - mimo, iż jak nigdy dotąd zdawano sobie sprawę z konieczności posiadania floty - stanął jednak po raz kolejny brak środków finansowych.

Pierwszy krok w kierunku morskiej potęgi zrobiono dopiero w latach czterdziestych XIX wieku. W roku 1842 zbudowano pierwsze okręty dla pruskiej floty wojennej: żaglowiec *Amazon*, który służyć miał do szkolenia sterników, podlegając Ministerstwu Handlu, i dwie tzw. *Kanonenjollen*. Te ostatnie, podobnie jak założone w Stralsundzie składy Marynarki Wojennej i sekcja morska przy Gwardyjskim Batalionie Sape-row - podlegały administracji wojskowej.

Duszą wszystkich tych poczyniń był wspomniany już wcześniej książę Adalbert Pruski, podówczas generalny inspektor artylerii. Zdolny ten człowiek już w swoich bardzo wczesnych latach zaczął być żywo interesować się sprawami Marynarki; podczas licznych podróży morskich i dogłębnich studiów poznał tę dziedzinę znakomicie, przeto w 1848 roku stanął na czele Komisji ds. Marynarki.

Prusy nie mogły jednak jeszcze myśleć o utworzeniu floty tak silnej, by musiały się z nią liczyć morskie potęgi. Z drugiej strony nie chciano tam ograniczać się w tym obszarze li tylko do wymagań chwili, lecz powzięto zamiar utworzenia marynarki wojennej, która mogłaby w przyszłości bronić portów Prus i innych państw północno-niemieckich, a także chronić niemiecki handel morski na wszystkich morzach. W tym celu, na polecenie króla, rozpoczęto 23 maja 1848 roku budowę osiemnastu kanonierek, z których każda miała zostać uzbrojona w dwa ciężkie działa. Uzbrojono też okręt szkolny *Amazon* i parowiec *Preußischer Adler*, a w Ministerstwie Wojny utworzono Wydział Marynarki, na którego czele stanął wspomniany książę Adalbert. Niezbędnych oficerów przeniesiono z innych służb, w tym i częściowo z marynarki handlowej.

Nowe dzieło podjęto w całym kraju

z wielkim zapalem, także były też związane z nim nadzieje. W miastach portowych - Stralsundzie, Greifswaldzie, Gdańsku czy Szczecinie - zaczęły powstawać specjalne komitety, które zbierały środki od prywatnych darczyńców, by wspomóc rząd w realizacji przedsięwzięcia. Już szesnastego sierpnia 1848 roku, wśród wiwatów licznie przybyłych do miejscowej stoczni mieszkańców Stralsundu, spłynęła na wodę pierwsza z budowanych kanonierek, otrzymując nazwę *Strela-Sund*.

Młoda marynarka nie mogła jeszcze, rzecz jasna, wystąpić w wojnie przeciw Danii. Potyczka, stoczona 27 czerwca 1849 roku przez Pruskiego Orła z duńskim brygiem *St. Croix*, nie przyniosła rozstrzygnięcia, ale ukazała bojowego ducha pruskiej floty. W wydanym z tej okazji przez księcia Adalberta Pruskiego rozkazie dziennym dla Marynarki Wojennej czytamy: „Dla wszystkich oficerów, podoficerów i marynarzy, którzy dotąd nie mieli okazji godnie dowieść swej dzielności w obliczu wroga, bohaterstwo kolegów będzie, jak mierniam, tym większą zachętą do wytrwałości i odwagi w walce, by nasza młoda flota zyskała szacunek w kraju i poza jego granicami.”

Po wojnie lat 1848-1851 Marynarka Wojenna Prus rozwijała się powoli, lecz nieustannie. W 1850 roku utworzono piecho-

tę morską (nazywaną wtedy Marinekorps). W nowo utworzonej stoczni marynarki w Gdańsku zbudowano Danzig, pierwszą korwetę parową napędzaną kołami łopatkowymi, zaś w Wolgast - szkuner Frauenlob, którego budowę wsparło kwotą dwudziestu trzech tysięcy ówczesnych talarów założone w 1848 roku

Zrzeszenie Kobiet. Dwa dalsze okręty przejęto od Reichskriegsmarine; były to - zdobyte na Duńczykach koło Eckernförde Gefion i Barbarossa. Kolejne dwie kanonierki parowe - Nix i Salamander - zakupiono w Anglii, odsprzedając je zresztą wkrótce z powrotem w zamian za fregatę żaglową Thetis, pierwszy w pruskiej flocie wojennej okręt szkolny dla kadetów.

W 1852 roku flota pruska liczyła w sumie 50 rozmaitych jednostek: 3 okręty żaglowe, 5 parowych i 42 mniejsze jednostki artyleryjskie (tzw. Kanonenschaluppen i wspomniane już wcześniej Kanonenjollen). Nadszedł czas ujęcia marynarki w trwałe ramy organizacyjne. W 1853 roku utworzono Admiralicję, na której czele stanął książę Adalbert, zwany odąd „Admirałem Pruskich Wybrzeży”. Stan

osobowy marynarki podzielono na Matrosen-Korps (odpowiadający późniejszym Matrosen-Divisionen) i Werft-Korps (następnie Werft-Divisionen). Wprowadzono obowiązkowy pobór do służby we flocie, utworzono rezerwę i lokalne oddziały morskiej samoobrony (Seewehr), wzorowane na siłach lądowych.

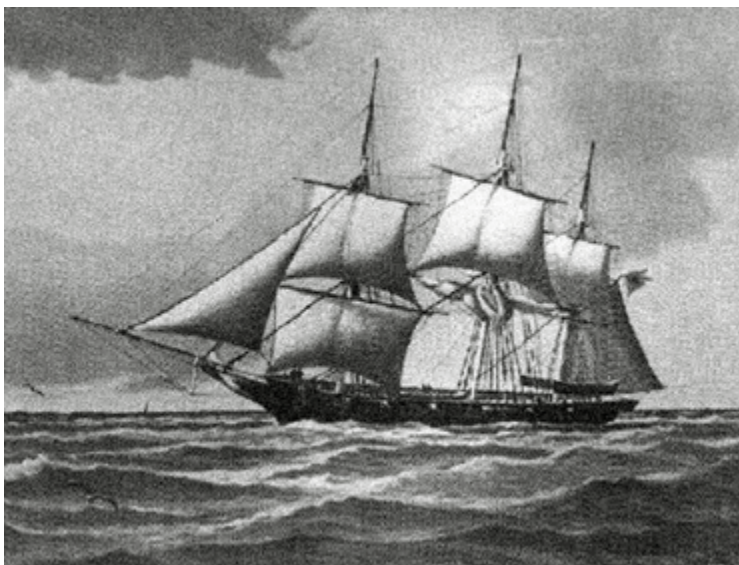
Wielkie znaczenie dla dalszego rozwoju marynarki wojennej Prus miał podpisany 20 lipca 1853 roku układ, mocą którego w ręce pruskie przeszedł rejon ujścia Jade; powstał tam port wojenny Morza Północnego, uroczyste otwarty 17 czerwca 1869 roku, w obecności króla i książąt Oldenburga i Mecklenburga/Schwerina. Otrzymał nazwę Wilhelmshaven, a koszty całego przedsięwzięcia sięgnęły 9,6 miliona talarów.

Młoda marynarka miała bardzo szybko dowieść swej przydatności i poziomu wykształcenia. W 1852 roku marokańscy piraci napadli u tamtejszych brzegów na pruski handlowy bryg Flora. W 1856 roku książę Adalbert Pruski wyruszył na wspomnianym już Danzigu na rozpoznanie owego rejonu. Podczas ekspedycji łódź okrętowa z

księciem na pokładzie została ostrzelana z brzegu. Tego było już za dużo; książę Adalbert postanowił ukarać zbójce bractwo i w niezwykle ciężkim terenie poprowadził desant swoich ludzi na ląd. Prusacy zadali piratom znaczne straty, gdy jednak ci ostatni ścignęli znaczne posiłki - książę i jego mały oddział musiał się wycofać. Straty wyniosły siedmiu zabitych, zginął m.in. jeden oficer. Dwudziestu dwóch ludzi, w tym sam książę Adalbert, odniosło rany.

Wydarzenie to odbiło się w świecie znacznym echem. Pewien francuski oficer, który niedługo później znalazł się na miejscu niedawnej potyczki, zapisał w swoim dzienniku: „Gdyby Prusacy rzeczywiście nie przeprowadzili tu lądowania - sądziłbym, że jest to niemożliwe”.

Przyszły kolejne wyprawy. W latach 1852-1853 pierwszy zespół okrętów pru-



Fot. Archiwum

skich, złożony z flagowego Gefiona, Amazone i Mercur pod dowództwem komandora Schrödera - pojawił się na Atlantyku. Okręty zawinęły m.in. na Maderę, do Rio, Montevideo i Buenos Aires w Ameryce Południowej oraz do licznych portów Indii Zachodnich.

W latach 1859-1862 zorganizowano pierwszą ekspedycję do krajów Dalekiego Wschodu (Japonii, Chin i dzisiejszej Tajlandii) w celu ożywienia handlu poprzez zawarcie rozmaitych układów i sojuszy. Dywizjonem pruskim dowodził komandor Sundewall z pokładu Arkony, prowadząc Frauenloba, Thetis i Elbe. Najpierw okręty wyruszyły po kolei do Singapuru, dokąd udał się też drogą lądową pruski poseł z delegacją, docierając na miejsce 2 sierpnia 1860 roku. W końcu 1862 roku jednostki powróciły do domu - niestety bez Frauenloba, który padł we wrześniu 1860 roku pastwą tajfunu w pobliżu Dżiddy, zabierając ze sobą na dno całą załogę (4 oficerów, lekarza i 41 marynarzy). Dla młodej floty była to ciężka strata. Los uderzył jeszcze mocniej 14 listopada 1861 roku, gdy w huraganie u wybrzeży Holandii zatonął okręt szkolny dla kadetów

Amazone. Wraz z nim zginęła cała załoga: komendant, kpt. mar. Herrmann, 4 oficerów, lekarz, 19 kadetów i 120 marynarzy.

Mimo ciężkich strat pruska marynarka wojenna pokazała, że związane z nią nadzieje nie są tak zupełnie płonne. Wyraził to król Prus, mówiąc w listopadzie 1861 roku we Wrocławiu: „Flota nasza, choć jeszcze nieduża, z czasem stanie się, jak miemam, godnym i wartościowym członem sił zbrojnych Prus. Nie służy ona li tylko wojnie, lecz powinna i w czas pokoju chronić nasz handel i rozwój. Jak pokazały ostatnie miesiące - obecność naszych okrętów na morzach dalekich może (i będzie) nieść pożytek całej Ojczyźnie. Wszystkim, którzy wypełniają to wielkie, dalekosiężne dzieło - z serca za to, wyrazami szacunku i zachęty, dziękuję.”

Niestety - przedsięwzięta reorganizacja armii lądowej spowodowała, iż marynarkę wojenną wciąż traktowano po macoszemu. W przeciwnym wypadku flota na pewno odegrałaby znacznie większą rolę w wojnie 1864 roku, oszczędzając wiele krwi żołnierskiej, jednak w tym czasie wciąż nie dorastała jeszcze siłą do poziomu floty Danii, dysponującej już nawet jednostkami opancerzonymi! Mimo to marynarka wojenna Prus zdołała pokazać wrogowi, iż nie da się już tak łatwo blokować pruskich portów, a w bitwie koło Jasmund (17 marca) załogi jej okrętów dowiodły, że niestraszna im na morzu duńska przewaga. Jednostki pruskie uczestniczyły też w działaniach na Morzu Północnym, choć tam musiały w bitwie koło Helgolandu (9 maja) uznać wyższość silniejszego, austriackiego przeciwnika.

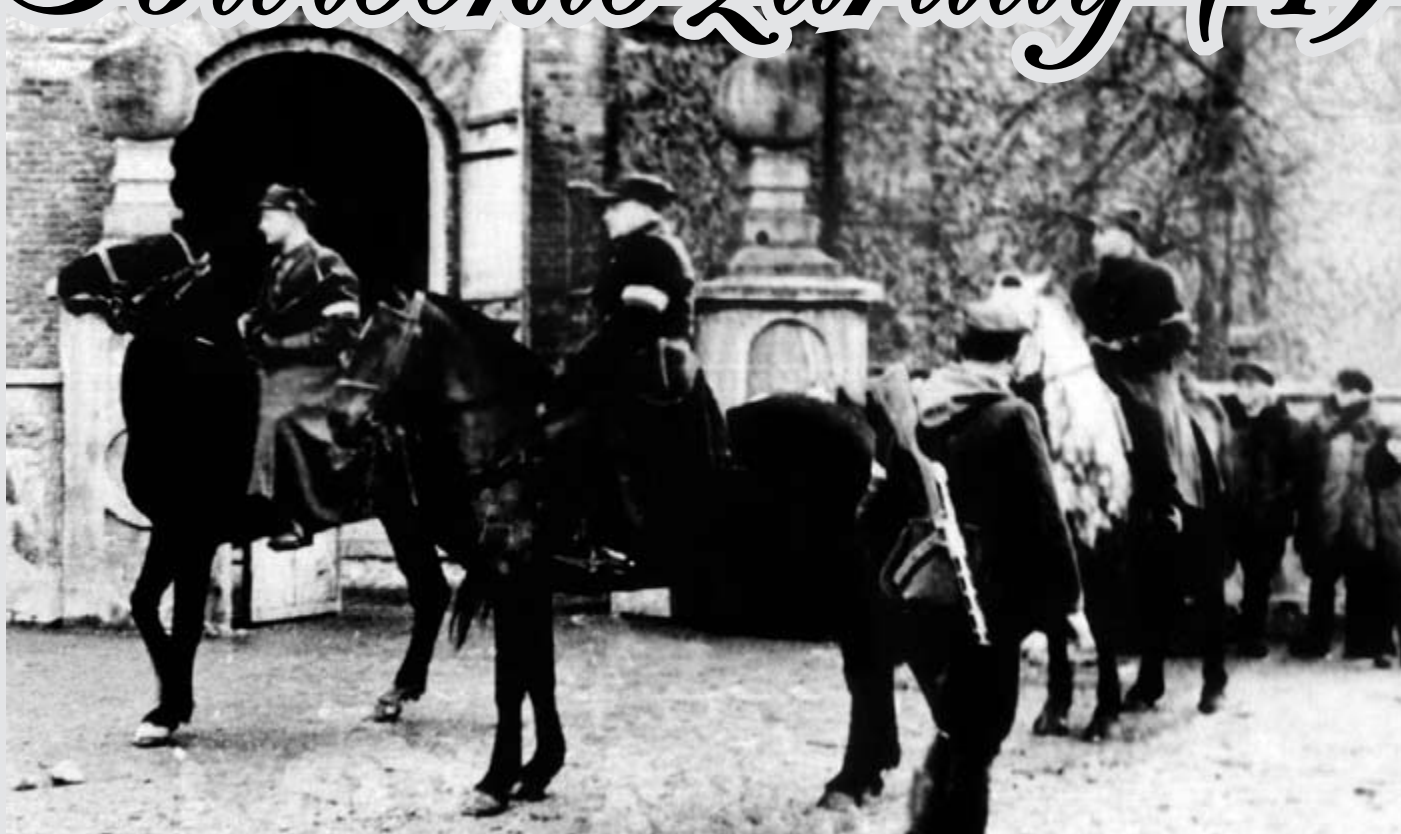
Wojna ta pokazała po raz kolejny, że praca nad powiększaniem siły floty postępuje zbyt wolno, a długoletnich zaległości na tym polu szybko nadrobić się nie da. Po wybuchu wojny zdecydowano się wprowadzić na zakupy okrętów w Anglii i we Francji, lecz było, rzecz jasna, już zbyt późno, bowiem działania dobiegły końca zanim kupione jednostki dotarły do nowych właścicieli.

Najważniejszym dla Marynarki Wojennej wydarzeniem, spowodowanym przez wojnę 1864 roku, było przeniesienie w 1865 roku głównej bazy na Bałtyku z Gdańska do Kilonii, gdzie też utworzono artylerię morską. Wojna roku 1866 skończyła się tak szybko, że flota w ogóle nie zdążyła wejść do akcji. Jedynie kilka jej jednostek, będących akurat w pobliżu Hamburga, zaatakowało twierdzę Stade i zajęło hanowerskie baterie u ujść rzek Łaby, Wezery i Ems.

Po zakończeniu tej wojny flota pruska przeszła w posiadanie Związku Północnoniemieckiego. 1 października 1867 roku wszystkie jej jednostki podniosły nową, czarno-czerwono-złotą banderę, ale to już inna historia...

Wojciech M. Wachniewski, Słupsk

Sowieckie Zdrady (1)



Fot. Archiwum

Burzyński był jednym z pierwszych żołnierzy podziemia zbrojnego na Wileńszczyźnie. Rezygnując w 1940 roku z pomocy pułkownika Szyłejki - u którego podczas kampanii wrześniowej był adiutantem - w planowanym wyjeździe na Zachód, pozostał na Wileńszczyźnie. Przed wybuchem wojny ukończył Wyższą Szkołę Nauk Politycznych przy Instytucie Naukowo-Badawczym Europy Wschodniej w Wilnie. Zdobyl tam wiedzę o Związku Sowieckim i jego ustroju - komunistycznym reżimie totalitarnym.

Na początku 1942 roku działał w podziemiu na terenie Świra, a nieco później - Kobylnika. Mieszkał wtedy krótko w Nanosach nad jeziorem Narocz, pracując jako inspektor rybołówstwa. W działalności konspiracyjnej znany był wówczas pod pseudonimem „Nurmo”. Na to, że w ogóle mógł działać w rejonie Świra, wpływ miały warunki: specyficzny układ nieingerencji w działalność administracji polskiej przez administratora ziemskiego, Niemca Flajsnera i pomoc przyjaciół, braci Romejków. W rejonie Świra dużo łatwiej niż gdzie indziej było ukryć spalonych ludzi, wyrobić im lewe papiery, a nawet zameldować na stałe.

W styczniu 1943 roku w miejscowości Niećki, w mieszkaniu Józefa Romejki Burzyński zorganizował spotkanie, na którym omówiono sprawę naboru ludzi i uzbrojenia ich w broń i amunicję. W marcu, w dzień

Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny, w zaścianku Bryle koło Kobylnika, „Kmicic” przyjął przysięgę od pierwszych partyzantów, między innymi od syna pułkownika Szyłejki, „Olka”. Od tej pory rozpoczęło się tworzenie oddziału, którego liczebność szybko rosła. 27 marca poprzez zamrożone jezioro Narocz, a następnie Niestuczę, do oddziału dołączył ze swoim kilkusobowym oddziałem konnym ppor. Antoni Rymśza, który zaraz wyruszył w rejon Kiemliszek i Łyntup, aby zebrać tam ukrytą broń i powrócić z nią do zaścianka Dobrzyń. Tu w mieszkaniu państwa Mackiewiczów ponownie oczekiwali na niego „Kmicic”.

Wiosną 1943 roku oddział stacjonował w Ludwinowie. Trwał napływ nowych ludzi - dołączył między innymi Władysław Chojecki „Podbipięta”, który skupił przy sobie nieliczną grupkę partyzantów, zgłosili się miejscowi patrioci: nauczyciel z Kobylnika - Bolesław Błażewicz „Budzik”, Kazimierz Wróblewski „Janusz”, Zbigniew Rudzki „Bachus”. Nawiazane zostały kontakty z Okręgiem w Wilnie, rozpoczęło się szkolenie.

Dotychczasowa kompania szkieletowa batalionu „Światosław”, którą dowodził Jerzy Lejkowski „Szpagat”, ściągnięta została z Duniłowicz i po uaktywnieniu weszła w skład oddziału. W terenie nawiązana została również współpraca z policją białoruską, która tworzyła własną konspirację, a kilku policjantów przeszło na stałe do „Kmicica”, m.in. Julian Kołacz „Hermes”.

Pod kryptonimem „Burza” wszedł do historii pierwszy na Wileńszczyźnie oddział partyzancki AK - „Kmicica”. Powstał on wczesną wiosną 1943 roku w powiecie postawskim, nad jeziorem Narocz. Jego dowódcą został podporucznik Antoni Burzyński

W początkach maja od społeczności rejonu Kobylnika oddział otrzymał sztandar bojowy z zawołaniem w haśle: „Bóg, Honor, Ojczyzna”. Wykonany został on w konspiracji ze sztandaru szkoły podstawowej w Maciasach i przed wręczeniem „Kmicicowi”, poświęcony przez księdza Pawłowskiego. W połowie czerwca oddział rozrósł się do kilkudziesięciu osób. Wówczas „Kmicic” zdecydował się przesunąć go do dużego kompleksu leśnego Bonda koło Wiszniewa. Tam szkolił ludzi, przygotowywał się do walki z Niemcami.

W czerwcu 1943 roku ppor. Burzyński nawiązał współpracę z Sowietami. Z uwagi na bliskie sąsiedztwo działających w okolicy Naroczy partyzantów sowieckich oraz wspólny cel, jakim była walka z Niemcami, zawarł w Niestuczynie porozumienie z dowódcą I Wileńskiej Radzieckiej Brygady Partyzanckiej im. Woroszyłowa - płk. Fiodorem Markowem. Przed wojną ukończył on w Święcianach Seminarium Nauczycielskie. Za czasów polskich, przed 1939 rokiem, za przekonania komunistyczne był aresztowany przez władze polskie i skazany na pół roku więzienia. Po przyjeździe władzy radzieckiej, wybrany został deputowanym ludowym, wstąpił do wojska i w niedługim czasie awansował do stopnia pułkownika.

Wbrew sprzeciwom inspektora Okręgu „Sulimy”, który przestrzegał „Kmicica” przed zbyt ufną postawą wobec Sowietów, porucznik zawarł z nimi porozumienie, w wyniku którego ustalono, że oddziały nie będą się wzajemnie zwalczać. Uzgodniono także zasady współpracy, wydano wspólne dwujęzyczne przepustki, ustalono hasła. Przyjazne kontakty służbowe ugruntowywać miały składane sobie nawzajem przyjacielskie wizyty, w tym także przy alkoholu.

Do planowanych wspólnie przeciwko Niemcom akcji bojowych jednak nie doszło. Pierwsza, zaplanowana na 20 czerwca na garnizon niemiecki w Konstantynowie, z niezrozumiałych dla polskich partyzantów, została zaniechana przez Sowietów. Czas upływał, napięcie wokół potrzeby rozpoczęcia wspólnych, regularnych akcji, rosło. Po zawarciu porozumienia z Sowietami, „Kmicic” w sąsiedztwie obozu Markowa założył dwie bazy: obóz wojskowy „A” i bazę gospodarczą - obóz „B”. Obie połączone kilometrową groblą. Teren, w jakim powstały, charakteryzował się trudnym podejściem. Rozpościerał się pomiędzy jeziorami Narocz i Miastro (na wschód od ujścia Naroczanki, 5 km na południe od wsi Hatowicze, na wzniesieniu wśród bagien).

Płk Markow dowodził dobrze uzbrojonym i zaopatrzonym z powietrza oddziałem byłych żołnierzy radzieckich. Trudno się dziwić, że współpraca z nim, dla liczącego już około dwustu partyzantów oddzia-

łu polskiego, który borykał się z zaopatrzeniem w broń i sprzęt, była kusząca. „Kmicic”, którego opieszałość Sowietów* coraz bardziej niepokoiła, nie chciał całkowicie uzależniać się od nich. Polscy partyzanci byli na tyle doświadczeni, że mogli sami pokusić się o zdobycie na wrogu niezbędnych środków walki i zaopatrzenia. Nie licząc drobniejszych potyczek, przeprowadzili kilka samodzielnych akcji, które zakończyły się powodzeniem i zdobyciem większej ilości broni, amunicji i sprzętu.

W połowie lipca oddział dowodzony osobiście przez „Kmicica” zaatakował w Kobylniku posterunek niemiecko-białoruski. Zdobył trochę broni, sprzętu i bydło. W nocy z 1 na 2 sierpnia zaatakował posterunek niemieckiej żandarmerii w Duniłowiczach. Bez strat własnych Polacy rozbili posteru-

wem i „Kmicicem” - rozpoczęły się 23, na jutro po uroczystościach święta żołnierza, które - przeniesione o tydzień - obchodzili wspólnie w obozie wojskowym.

W uroczystościach uczestniczył inspektor „Sulima” i jego przyjaciel, kapitan Strzelecki, który zabierając głos, nie tylko pochwalił partyzantów za ich dzielność, ale także nieopatrznie wyjawiał plany przeniesienia - jeszcze przed zimą - bazy w głąb kompleksu Bonda lub w byłe lasy magnata Wiszniewskiego pod Łyntupy, bliżej stacji kolejowej. Brał w nich udział także płk Markow ze swoim sztabem, była również liczna grupa partyzantów sowieckich. Ze strony polskiej, oprócz przedstawicieli Okręgu, w święcie uczestniczyli także przedstawiciele siatki terenowej AK i osoby ich wspierające.



nek, zdobywając wiele sprzętu i uzbrojenia. Bezsprzecznym sukcesem było rozbięcie bazy niemieckiej w Żodziszkach, które przyniosło najwięcej korzyści spośród wszystkich akcji oddziału. Zdobyto wiele broni, amunicji, sprzętu, umundurowania i żywności.

Niebawem jednak obawy inspektora „Sulimy” potwierdziły się. W sierpniu 1943 roku, parę miesięcy po zerwaniu przez Stalina stosunków dyplomatycznych z Rządem Emigracyjnym, oddział „Kmicica” został przez niedawnych sprzymierzeńców podstępnie napadnięty i zlikwidowany. W poprzedzającym to wydarzenie czasie do bazy wojskowej przybyło dwóch oficerów Markowa, komandir Sudarikow i komandir Szaszkwow z informacją, że nazajutrz Polacy mają zgłosić się z całym sztabem na bazę sowiecką, w celu dopracowania planu przeprowadzenia wspólnej akcji na garnizon niemiecki w Madziole. Był dzień 25 sierpnia, a rozmowy na ten temat - pomiędzy Marko-

Wracając do planowanej przez Sowietów akcji na Miadzioł, należy podkreślić, że znajdował się tam silnie umocniony, dwupiętrowy bunkier z niemiecką załogą. Wyśłannicy Markowa tłumaczyli, że Polakom łatwiej będzie opanować ten punkt strategiczny, gdyż mają oni tam swoich ludzi pracujących u Niemców. - Wy zapewnicie pomoc w uśpieniu czujności Niemców i dotarcie do bunkra - wyjaśnił Sudarikow - a my przygotujemy niezbędny do tej operacji sprzęt. Szczegóły omówimy w naszej bazie.

Spotkanie dowódców oddziału wyznaczono u Sowietów na godzinę dziewiątą. Sowietci czekali na nich ukryci w pobliskich krzakach. Zaskoczenie było paraliżujące. Nikt przecież nie spodziewał się z ich strony ataku. Zanim Polacy zorientowali się w sytuacji, Sowietci mieli wszystkich na muszkach karabinów. W tym samym czasie Sowietci otoczyli całą polską bazę. Partyzanci, czyścili akurat broń, co ułatwiło im ich rozbrojenie. Rosjan do obozu wpro-

wadzili polscy partyzanci Niciński, ps. „Boryna” i „Jerzy Ostróg”. Komandir Sudarikow i komandir Saszkow wjechali bryczką, inni za nimi na koniach. Sudarikow zarządził zbiórkę bez broni. Szef bazy Edward Kilczewski „Ostrowski” nie zgodził się. Krzyknął: - Chłopcy z bronią do mnie! - Ale wtedy Sowietci wydali komendę: „Brasaj orużie!” i skierowali w nich swoje pepesze. Zaczęli strzelać w górę, nad głowami Polaków. Jak akowcy oddali broń, wszystkim kazano położyć się na ziemi. Franciszek Szurpicki „Brzózka” odmówił oddania broni i wykonania polecenia, by upaść. Gdy Ruscy podchodzili do niego, wyjął granat i rozerwał się nim.

Baza gospodarcza również otoczona została przez partyzantkę sowiecką. Polakom odebrano broń i położono ich na ziemi. Godzinę później przyprowadzono partyzantów aresztowanych w bazie wojskowej. Dwójkami, otoczeni silnym kordonem Sowietów, zaprowadzeni zostali na wzgórze, gdzie płonęło ognisko i podobnie jak ci z bazy gospodarczej, położeni na ziemi. Ogień płonął. Leżeli tam całą noc, a pomiędzy nimi stali sowieccy wartownicy z bronią.

Rano rozpoczęły się przesłuchania. Prowadzili je Jonas Wildzunus „Diadia Wania” i Polak, którego nazwiska nie ustalono. Przy „Diadi Wani” tłumaczem był, przybyły niedawno do oddziału, komendant policji białoruskiej z Nowego Miadzioła Smoleński. Przesłuchiwanym dzielono na dwie grupy. Jedni mogli swobodnie poruszać się po obozie otoczonym ściśle Sowietami, drugich kierowano na wzgórze i pilnie strzeżono, nie pozwalając nigdzie się ruszyć.

Gdy przesłuchania ustały, tych, których odłączono, kierując na wzgórze, odprowadzono w głąb lasu, prawdopodobnie do bazy litewskiej. Niewielka baza, zorganizowana przez litewskich komunistów zrzuconych z Moskwy, znajdowała się w sąsiedztwie bazy sowieckiej. Z tego co mi wiadomo, składała się z dwóch oddziałów: Jurgisa i Kazisa. Litwini stronili od Polaków. Zresztą dotarcie do bazy litewskiej możliwe było jedynie przez bazę Markowa. Litwini nie prowadzili walki. Sowietci mówili im, że oni zajmują się jedynie sprawami politycznymi.

W grupie wyprowadzonych na bazę litewską Polaków znaleźli się wszyscy ci, co odmówili współpracy z Moskwą. Bez względu na poglądy włączono do nich wszystkie osoby funkcyjne i tych, których już wcześniej Rosjanie mieli na oku. Wśród wyprowadzanych byli między innymi: dowódca 1 kompanii - Kilczewski „Ostrowski” oraz przyjaciel „Kmicica”, szef wywiadu - Michał Klewiado - pochodzący ze straży granicznej ze Śląska. Był wśród nich również jego Jurczak „Kukuś”. Przed wojną był on na Śląsku komendantem polskiego „Strzelca”. Stamtąd uciekł przed Niemcami na Kresy Wschodnie. Do oddziału przy-

szedł razem z grupą policjantów miadziolskich. Niemcy wykorzystywali go jako tłumacza. W czasie przesłuchania przez „Diadię Wanię” nie miał szans. Był na liście, którą „Diadia” miał ze sobą.

Kilczewski nie pojechał razem z „Kmicicem” na bazę radziecką, gdyż wykonywał zadanie służbowe. Właśnie, gdy nadzorował czyszczenie rozłożonej broni, bazę zaatakowali Sowietci. Potem, odchodząc z bazy, głośno pozdrawiał swoich partyzantów: - Żegnajcie chłopcy. Co stanie się ze mną domyślicie się sami, jeśli nie wrócę do was. Ja Sowietom uciekać nie będę. Nie czuję winy, niczego im nie zrobiłem.

Już zza granicy obozu wołał do nich Michał Klewiado: - Trzymajcie się chłopaki! Żegnam was! Powiedźcie innym, co stało się z nami. Pamiętajcie! Powiedźcie innym!

Godzinę później do polskiej bazy przyjechał na koniu płk Fiodor Markow. W otoczeniu kilku swoich partyzantów, w tym Sudarikowa i Szaszkowa, wjechał na to samo wzniesienie, gdzie w nocy płonął ogień, a potem zbierano polskich partyzantów i nakazał u jego podnóża zarządzić dla nich zbiórkę. Potem przemówił: - Polacy. Nie bójcie się, wasz oddział będzie istniał nadal. Musicie wszyscy wiedzieć, że wasze dowództwo prowadziło niewłaściwą politykę wobec Związku Radzieckiego. Dostałem rozkaz z Moskwy, żeby - kalecząc polski język wyjaśnić - obezbroić wasz oddział i obezbroić go. Dziękuję wam za to, że zrozumieliście nas i że obeszło się bez poważniejszych incydentów. Świadczy to o tym, że zrozumieliście, iż wasi dowódcy manipulowali wami i...

- Wśród partyzantów zawrzało.

- A gdzie są nasi dowódcy?! Co z „Kmicicem” i z naszymi oficerami?! - posypały się pytania.

Markow podnosząc głos, oznajmił:

- Wasze bezpieczeństwo zależy wyłącznie od was samych.

- Gdzie jest nasz dowódca „Kmicic”?! - ktoś z tłumu ponowił pytanie.

- Przywiozłem wam nowego dowódcę! Oto on. - Dowódca sowieckiej brygady wskazał na mężczyznę, który znajdował się przy nim. Jego koń jak tancerz zakotłosał ciałem, podniósł przednie nogi i wykonał młynek, prezentując wszystkim siedzącęgo na nim jeźdźcę.

- Wasz nowy dowódca jest kapitanem - wołał Markow. - Nazywa się Wincenty Mroczkowski, a partyzancki pseudonim ma „Zapora”.

W rzeczywistości był to plutonowy, którego w 1938 roku zwolniono dyscyplinarnie z Wojska Polskiego do cywila, za nadużywanie alkoholu.

Markow oznajmił także, że na życzenie polskich władz wojskowych w Moskwie oddział przyjmie nową nazwę: imienia Bartosza Głowackiego. - „Kmicica” zatrzymaliśmy do dyspozycji Moskwy - oznajmił Markow. - Będzie on musiał wytłumaczyć się z

błędnej polityki wobec naszych władz.

Polacy nie mogli tego zrozumieć; przecież „Kmicic” tłumaczył im, że współpracując z Sowietami, otwierają sobie drogę do lepszych stosunków sąsiedzkich po wojnie?

„Kmicic” był antykomunistą. Jego idee odrodzenia wolnej Polski w granicach sprzed 1939 roku nie podobały się Rosjanom. Pojęcie „legioniści”, jakiego używali, miało zabarwienie pejoratywne. Tradycje Piłsudskiego zawsze nieprzyjemnie kojarzyły się Sowietom. Kto wie, czy obchody święta żołnierza, którego tradycja wywodzi się z pamiętnego cudu nad Wisłą, nie zadecydowały o tym, że Sowietci tak właśnie rozprawili się z oddziałem „Kmicica”. A może to obawy, że ich komendant „Wilki” przeniesie oddział w inny rejon? Poza ich zasięg bezpośredniego oddziaływania.

Wtedy nic nie wiadomo jeszcze o tym, że 22 czerwca 1943 roku w Moskwie Komitet Centralny Komunistycznej Partii Białorusi przyjął uchwałę nakazującą „wszystkimi sposobami zwalczać oddziały i grupy nacjonalistyczne”, a za takie uważana była Armia Krajowa.

„Kmicica” zamordowano w okrutny sposób w bazie litewskiej. Powieszono za nogi, darto z niego pasy, podkładano ogień. Miejsce jego pochówku nie jest znane do dzisiaj. Wraz z nim zginęło 82 polskich partyzantów. Rzekomy kapitan Mroczkowski miał realizować politykę sowieckich komunistów. Nie wiedział dokładnie, jaką ma być powojenna Polska. Jego zdaniem - mieli o tym decydować Polacy z oddziałów komunistycznych Wandy Wasilewskiej. Dla nich było to jednoznaczne z tym, że o ich losie mieli zadecydować Sowietci.

Partyzanci oddziału „Kmicica” nie chcieli walczyć u boku sojusznika, który uzurpował sobie prawo decydowania o tym, jaka będzie Polska, za którą oni mają przełać krew.

Mroczkowski nie dorósł do stopnia oficerskiego, jaki otrzymał od Sowietów. Jego oddział w krótkim czasie (około 3 tygodni) rozpadł się. Niedobitki oddziału „Kmicica” stały się niebawem załącznikiem nowej formacji zbrojnej - V Brygady Śmierci AK, Brygady „Łupaszki”.

Jan Stanisław Smaleski, Naćmierz

*Przypis: */ Partyzanci „Kmicica” nie wiedzieli, że wiosną stan stosunków polsko-sowietkich, po wyjściu z terenu ZSRR armii Andersa, bardzo się zaognił. W kwietniu, po skierowaniu przez Polskę do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża prośby o wyjaśnienie sprawy katyńskiej, doszło do zerwania stosunków dyplomatycznych. W odpowiedzi na posunięcia Polski, ZSRR oskarżył Rząd Polski o kolaborację z Niemcami. 30 czerwca Niemcy aresztowali Komendanta Głównego AK w Warszawie, a 5 lipca zginął w katastrofie lotniczej nad Gibraltarem premier i Naczelnny Wódz Wojska Polskiego generał Władysław Sikorski.*

wołał do nich: - trzymajcie się chłopaki! żegnam was! powiedźcie innym, co stało się z nami. pamiętajcie! powiedźcie innym!

Słonowice leżą w południowo-zachodniej części gminy Kobylnica, przy drodze odchodzącej w Reblinie od szosy krajowej ze Słupska do Sławna. Granicę rozdzielającą ziemie należące do Dobrzęcina i Słonowic stanowi ciek wodny, dopływ Wieprzy wypływający od strony Runowa w stronę Wrzącej. Wschodnią granicę przyległości należących do Słonowic wytycza linia kolejowa ze Słupska do Miastka z przystankiem oddalonym od miejscowości o dwa kilometry. Nazwa wsi ma charakter patronimiczny i utworzona została od nazwy osobowej Słony. W 1505 roku nazywała się Slonnenitz, natomiast jej niemiecka nazwa przed 1945 rokiem brzmiała Gross Schlönwitz.

Wsie Słonowice i Dobrzęcino należały do rodziny von Kleist, która przejęła je od v. Puttkamerów, gdyż Mathias v. Puttkamer w 1480 roku sprzedał Malechowo i nabył Komorczyn, Dobrzęcino i Słonowice. W 1510 część tych ziem figurowała jako zastaw dla v. Belowów. Ci ostatni jako właściciele Słonowic występowali w dokumentach do 1549, a Dobrzęcino do 1640 roku. W latach 1655 - 1666 na liście właścicieli figurowały już nazwiska v. Kleist i v. Krockow. To ostatnie zaistniało prawdopodobnie przez koligację z kobietą z rodziny v. Below. W 1756 roku jedna czwarta obszaru wiosek należała do rodziny v. Blumenthal z Kwakowa. W 1773 majątek był w posiadaniu rodziny v. Krockow.

W okresie wojen napoleońskich Słonowice zostały przez Francuzów podpalone, później ponownie je odbudowano. Do dziś nie wiadomo, jak wyglądała przedtem wieś, majątek oraz dworek. W 1840 roku grabinie Waleska v. Krockow wyszła za mąż za rotmistrza Hermanna v. Blumethala z Kwakowa, a później zmarła podczas porodu syna. W ten sposób cały majątek przejęła rodzina v. Blumenthal i należał on do niej do 1945 roku. Hermann v. Blumenthal zmarł w 1863, a ponieważ jego syn, rotmistrz Vally v. Blumenthal, w 1886 kupił inną posiadłość, Słonowicami w latach 1863-1924 zarządzał administrator o nazwisku Strömer. Po śmierci Vally'ego majątek przejął prof. dr Albrecht von Blumenthal. W 1924 roku zarząd dobrami przejął jego brat Robert. W maju 1939 spalili się dwór wraz z kilkoma oborami, jedną z nich odbudowano w 1941 roku. Odbudowę dworu odłożono na czas pokoju, lecz nigdy nie doszła do skutku. W skład spalonego dworu wchodził dom dziedzica, wchodziły też stodoły i obory. Za domem położony był budynek, w którym pracował inspektor, a obok ulicy - park z dwoma stawami i dużą liczbą starych drzew.

Majątek szlachecki obejmował powierzchnię 325 ha i przede wszystkim uprawno w nim ziemniaki. Według księgi handlowej Willi Popp hodował 45 krów, dwa buhaje oraz cielęta. Hodowlą trzody chlewnej (około 300 świń) zajmował się August Schramm. Mienie majątku nadzo-

Słonowice, bo... Słony

W okresie wojen napoleońskich Słonowice zostały przez Francuzów podpalone, później ponownie je odbudowano. Do dziś nie wiadomo, jak wyglądała przedtem wieś, majątek oraz dworek



Fot. J. Maziejuk

rował inspektor Arthur Simon. Słonowice miały pocztę, której właścicielem był Friedrich Hein. Prowadził on także sklep, pełnił ponadto funkcję burmistrza. We wsi znajdowała się kuźnia i pracował kołodziej. Była też szkoła - na początku jednoklasowa, dopiero po drugiej wojnie światowej dwuklasowa. Do 1934 roku uczyli w niej Paul Braun i Weker Klaschiński, zaś w latach 1934-1944 Nimz Künne, Wilke oraz jego żona.

Park w Słonowicach założono w stylu angielskim. Rosły w nim stare drzewa i były dwa stawy. Graniczył on z posiadłością należącą do kościoła. Pozostały po nim zaledwie grupy zieleni. Jeśli chodzi o kościół, to Ruthger v. Blumenthal napisał, iż położony w centrum wsi, mógł zostać zbudowany w

XIII-XIV w., lecz z ówczesnej budowli zachowała się tylko dzwonnica. Początkowo była ona wyposażona w dwa dzwony, jednak podczas pierwszej wojny światowej jeden z nich zdjęto i przetopiono. Dzwon ten pochodził prawdopodobnie z XIV w., na co wskazywał umieszczony na nim napis. Pozostała część istniejącego do dziś kościoła zbudowano po 1892 roku.

Nieco inne informacje odnajdujemy w karcie ewidencyjnej kościoła Służby Ochrony Zabytków. Uznano w niej bowiem za L. Boettgerem, że wieża świątyni pochodzi prawdopodobnie z XV w., a także, iż do 1892 roku istniał jeszcze średniowieczny korpus. Był to obiekt założony na planie prostokąta, bez wyodrębnionego

prezbiterium, z prostokątną kruchtą od południa. Sporządzająca kartę Dorota Cieślik uznała, że obecny kościół pochodzi prawdopodobnie z przełomu XIX i XX w. Wiadomo, że 11 sierpnia 1807 roku, na skutek pożaru, znacznie ucierpiał. Budowla ma jedną nawę, od zachodu wyższą wieżę, a od wschodu prostokątne prezbiterium. Przy nim, od północnej strony, znajduje się zbudowana na planie prostokąta zakrystia, a do nawy od południa przylega kruchta. Dawna wzniesiona została na planie kwadratu. Kościół wymurowany został z cegły oraz osadzony na kamiennych fundamentach. Nawa główna jest jednokondygnacyjna, wieża - dwukondygnacyjna, prezbiterium, zakrystia i obydwie kruchty są niższe. Nawę przykrywa dach dwuspadowy, wieżę czterospadowy z ośmiobocznym hełmem, prezbiterium - dach pięcospadowy, kruchtę południową - dwuspadowy, a zakrystia i kruchta przy prezbiterium pokryte są dachami jednospadowymi. Wieża pokryta jest blachą, reszta układana podwójnie dachówką karpieńską.

W zachodniej elewacji wieży znajduje się ostrołukowy portal z okrągłym otworem okiennym w tympanonie. Otwór drzwiowy zamyka łuk odcinkowy, a otwór okienny nad portalem łuk pełny. Drugą kondygnację dzielą cztery ostrołukowe blendy, w dwóch środkowych zamieszczone zostały małe otwory okienne, zamknięte łukami pełnymi. Podziały drugiej kondygnacji, elewacji południowej i północnej są nieregularne jak w zachodniej. Elewacja północna kościoła jest pięciosiowa, a otwór drzwiowy zamyka łuk odcinkowy. Ściany boczne kruchty są jednoosiowe, ścianę szczytową tej części dzieli pięć blend zamkniętych środkowo. W narożnikach prezbiterium elewacji wschodniej znajdują się przypory. Ściana północna zakrystii jest jednoosiowa, otwór drzwiowy zamknięty łukiem ostrym, ściana wschodnia jest zaś dwuosiowa. Otwory okienne elewacji północnej i prezbiterium są duże, zamknięte łukami ostrymi. Między oknami elewacji północnej umieszczono dwuskokowe przypory, a w narożnikach przypory ukośne. Również zamknięte łukami ostrymi, ale małe otwory okienne znajdują się w zakrystii i kruchcie wschodniej.

Zabytkowe wyposażenie obiektu stanowi ambona z drugiej połowy XVII wieku, ozdobiona figurami czterech ewangelistów, chrzcielnica z 1658 roku, granitowa kropielnica z XIII-XIV wieku oraz ołtarz, ławki i empora z końca XIX wieku. Po wkroczeniu do Słonowic wojsk radzieckich, kościół został zdewastowany; żołnierze rosyjscy obiekt podpalili, części organów leżały później porozrzucone w promieniu kilkuset metrów. W 1968 r. ks. Zdzisław Serwa SDB doposażył świątynię w ołtarz główny sprowadzony z parafii pod wezwaniem św. Teresy w Łodzi. Figury: Serca Pana Jezusa, Matki Boskiej Niepokalanej i św. Józefa,

umieszczone w tymże ołtarzu, sprowadzono ze Śląska. Przerobiono też ołtarz boczny - zdobiący go wcześniej obraz Jezusa Ukrzyżowanego przeniesiono do kruchty, a wstawiono sprowadzony z Warszawy obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

W 1973 roku obok kościoła zbudowano nową dzwonnice i zawieszono na niej dzwony: Świętego Stanisława ufundowali rodzice, Aniołów Stróżów - młodzież. Obydwa dzwony wykonane zostały w firmie ludwisarskiej Jana Falszyńskiego w Przemyślu. W 1981 roku położono na kościele dachówkę, a w październiku 1986, staraniem ks. Andrzeja Pastwy SDB, wymieniono pokrycie wieży. Kubatura obiektu wynosi

(1743 - 1787), Ernst Theodor Hatén (1788 - 1805), Dawid Rudolph Reinmann (1807 - 1859), Karl Friedrich Wilhelm Kieppen (1859 - 1891), Rainhold Ludwig Fraugott Witte (1893 - ?), Jeroschewitz (? - 1935), Schultz (1935 - 1942), Otto Range (1942 - 1945).

Rzymskokatolicką parafię pw. św. Stanisława Kostki formalnie erygowano 3 maja 1976 roku, lecz początkowo była to parafia pw. Matki Boskiej Pocieszenia we Wrzesznie, z siedzibą w Słonowicach. Dopiero później przekształcono ją w parafię Słonowice. Samodzielnym wikariatem była już od 1963 roku. Wcześniej świątynia była kościołem filialnym parafii pw. Najświętszej Maryji Panny w Pałowie. Przez pewien czas ob-



1849 metrów sześciennych, a powierzchnia użytkowa 257 metrów kwadratowych. Kościół ujęty jest w rejestrze zabytków pod numerem A- 403.

Powierzchnia cmentarza przykościelnego w Słonowicach wynosi 0,45 ha. Jego pierwotne założenie określa się na XV wiek. Podobnie jak kościół zlokalizowany jest w centrum wsi, na terenie równym. Zachowane zostały granice pierwotnego układu przestrzennego, natomiast dawny układ kwater i nagrobków został zatarty. Teren cmentarza porasta murawa i luźny drzewostan, złożony z lip, kasztanowców, jesionów, klonów, grabów i świerków.

Słonowicki zbór ewangelicki podlegał synodowi w Sławnie. Do parafii tej należały Słonowice, Słonowiczki, Dobrzęcino, Runówko i Wrząca. Nad kościołem patronat sprawowali panowie Słonowic i Dobrzęcina. Kolejnymi proboszczami ewangelickimi w Słonowicach byli następujący pastory: Martin Kerner (1554 - 1593), Joachim Maas (1594 - ?), Matthias Hasing (1610 - ?), Johann Gutsławius (? - 1614), Erdmann Mauritius Moritz (1647 - 1695), Marttheus Wasenselow (1695 - 1736), Petrus Szweder (1737 - 1743), Johann Cyprian Ebrahim Neumann

ślugiwali ją również salezianie ze Słupska, gdyż rozległy teren parafii w Pałowie stwarzał poważne problemy w obsłudze. Wikariusz z Pałowa, ks. Jan Romanowicz SDB, przez rok (1960 - 1961) mieszkał nawet w Zębowie. Ostatecznie jednak w 1962 roku przeniósł się do Słonowic, do wynajętego lokalu, i w ten sposób faktycznie rozpoczął usamodzielnienie przyszłej parafii Słonowice, chociaż odrębne księgi metrykalne chrztów, małżeństw i zmarłych prowadzono tu już od 1956 roku.

W 1963 roku następcą ks. Romanowicza został ks. Józef Padurek SDB (+15 lutego 1983 - Bydgoszcz). W 1965 zmienił go ks. Henryk Frączek SDB (+11 lipca 1991 - Kutno), którego z kolei 12 lutego 1967 zastąpił ks. Zdzisław Serwa SDB (+6 kwietnia 2007 - Ład n. Wartą). On też po ustanowieniu parafii został pierwszym proboszczem i urząd ten pełnił do lipca 1983 roku. Wpisał się w dzieje parafii jako osoba wyjątkowo barwna, to za jego kadencji proboszczowskiej ochrzcił swoje dzieci w miejscowym kościele niezwykle zasłużony dla Słupska pierwszy i wieloletni wojewoda słupski Jan Stępień. Z dniem 1 sierpnia tegoż roku następcą jego został ks. Andrzej Pastwa SDB

i na stanowisku proboszcza pracował do wakacji 1991 roku. W latach 1989-1991 w pracy duszpasterskiej wspierał go ks. Zenon Kaplan SDB. W 1991 roku Zgromadzenie Salezjańskie przekazało parafię Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej. Pierwszym proboszczem diecezjalnym, ustanowionym 15 sierpnia 1991 roku, został ks. Feliks Samulak. Podczas wakacji 2004 objął on urząd proboszcza w Jezierzycach, a proboszczem w Słonowicach został ks. Krzysztof Łachut.

Do parafii włączone zostały miejscowości: Słonowice, Bzowo, Dobrzęcino, Kczewo, Komorczyn, Runowo, Słonowiczki, Ściegnica, Wrząca, Zbyszewo oraz z gminy Sławno: Warszkwko, Tychowo i Wrześnica. W dwóch ostatnich znajdują się kościoły filialne. W 1998 roku erygowano parafię w Warszkwie i przyłączono do niej z parafii Słonowice - Warszkwko oraz Wrześnicę, zaś miejscowości należące do gminy Kobylnica nadal pozostały przy parafii słonowickiej. We Wrzącej w latach 90. wybudowano nową kaplicę, w której również odprawiane są msze święte.

Duszpasterstwo w parafii Słonowice utrudnia duża odległość między wioskami, a co za tym idzie, ograniczony kontakt z wiernymi. Na przykład Bzowo i Zbyszewo oddalone są od Słonowic o siedem, Ściegnica o dziewięć, a Tychowo o dziesięć kilometrów. W 1998 roku Bzowo liczyło 156 wiernych, Dobrzęcino - 184, Kczewo - 166, Komorczyn - 97, Runowo - 156, Słonowiczki - 59, Ściegnica - 128, Tychowo - 515, Wrząca - 461 i Zbyszewo - 19. W samych Słonowicach zamieszkiwało 155 wiernych. Na 2096 mieszkańców parafii było 1900 katolików oraz sześcioro grekokatolików. Od stycznia do września 2001 roku proboszcz udzielił tylko dwanaście chrztów i sześciu ślubów, pogrzebał natomiast aż szesnastu zmarłych.

Do końca lat 80. XX wieku plebania mieściła się w połowie starego domu położonego opodal kościoła. Wówczas rozpoczęto budowę nowego domu parafialnego, którą zakończył już ks. F. Samulak. Z parafii wywodzą się: ks. Cezary Lesikowski - kapłan Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej, ks. Adam Michalski SDB oraz urszulanka s. Elżbieta Stępniewska. Parafia należy do dekanatu Sławno.

Nie używa się dawnego cmentarza ewangelickiego, założonego w drugiej połowie XIX wieku. Nekropolia ta ma powierzchnię 0,56 ha i zlokalizowana jest w północnej części wsi, przy szosie z Dobrzęcina, na terenie równym, w otoczeniu pól uprawnych. Czytelne pozostały granice pierwotnego układu przestrzennego oraz zwarty układ kwater i mogił, lecz nie zachowały się nagrobki. Wzdłuż granic cmentarza rośnie szpaler dwudziestu czterech kasztanowców.

W otoczeniu pól uprawnych w 1950 roku założono nowy cmentarz. Nekropolia zlokalizowana jest po północnej stronie

wsi, przy szosie z Reblina. Jej powierzchnia wynosi 0,4 ha. Granice układu przestrzennego są czytelne, nie ma podziału na kwatery. Wzdłuż granic rosną szpalery drzew, w większości świerki.

Decyzję o otwarciu Szkoły Podstawowej w Słonowicach podjął Inspektorat Szkolny w Sławnie. Nauka rozpoczęła się 1 października 1948 roku. Początkowo pracował tu tylko jeden nauczyciel Jan Grzybowski. Od grudnia 1955 nadzór nad szkołą przejął Wydział Oświaty Powiatowej Rady Narodowej w Słupsku. W 1956 placówka realizowała pięcioletni program nauczania, w roku następnym już sześcioletni, zaś od września 1966 roku - ośmioletni.

We wrześniu 1973 roku zamknięto Szkołę Podstawową w Runowie, a dzieci ze zlikwidowanej placówki włączono do szkoły w Słonowicach. Kolejna reorganizacja słonowickiej szkoły odbyła się rok później, bowiem od września 1974 do Słonowic dowożono również uczniów klas od piątej do ósmej ze szkół we Wrzącej i Bzowie. Nie trwało to długo, gdyż w roku szkolnym 1979/1980 powstała szkoła zbiorcza we Wrzącej, do której dowożono ze Słonowic uczniów klas od czwartej do ósmej. We wrześniu 1990 roku dokonano nowej reorganizacji - tym razem we Wrzącej pozostawiono tylko dzieci klas od „zerówki” do trzeciej, starsze zaś zaczęto dowozić do Słonowic.

W 1948 roku stan techniczny oraz sanitarny obiektów szkolnych był fatalny. Nowe pokrycie dachu na budynku szkolnym położono dopiero w lipcu 1957 roku. Trzy lata później wokół boiska zasadzono krzewy, a następnie okolono je żelbetonowym ogrodzeniem. W 1961 dokonano dalszych remontów, ponadto szkoła otrzymała drugi budynek. Stare obiekty ciągle jednak nie były funkcjonalne i dostrzegano konieczność wybudowania nowej szkoły. W lutym 1967 roku inwestycję postanowiono przyspieszyć. Powołano Społeczny Komitet Budowy Szkoły, jego przewodniczącym został kierownik Zakładu Rolnego w Dobrzęcinie, inżynier Wacław Jęchorek. Budowę prowadzono pięć lat. Nowy obiekt szkolny oddano do użytku w pierwszej połowie 1991 roku, nieco później dokończono halę sportową. Dziś szkoła w Słonowicach to okazały obiekt z salą gimnastyczną wyposażoną w nowoczesny sprzęt, mieszczący także kilka pracowni przedmiotowych.

W latach 1999 - 2000 absolwentami byli uczniowie klas ósmych, a od 2001 roku są nimi uczniowie klas szóstych. Pierwszym kierownikiem, a później dyrektorem szkoły był Jan Grzybowski (1948 - 1981), po nim stanowisko dyrektora obejmowali kolejno: Małgorzata Wolniszewska (1981 - 1983), Maria Mickiewicz (1983 - 1989), Jacek Kantowski (1989 - 1992), Anna Kamińska (1992 - 1997), Marek Labuda (1997 - 2002) i od 2002 roku Jolanta Bojarska. W 2010 roku obowiązki dyrektora szkoły zaczęła peł-

nić Irena Jasińska. Natomiast w latach 1957 - 1959 pracował w tej szkole jako nauczyciel oraz opiekował się szkolną drużyną ZHP - historyk, profesor Stanisław Łach.

W roku szkolnym 1996 - 1997, po zasięgnięciu opinii uczniów, na posiedzeniu Rady Pedagogicznej zaproponowano, by szkoła przyjęła imię Książąt Pomorskich. Projekt sztandaru wykonał Grzegorz Kamiński, a ufundował go Urząd Gminy w Kobylnicy. Podczas uroczystego nadania szkole imienia, sylwetki książąt na tle dziejów Słupska przedstawił prof. Zygmunt Szultka, obecni byli również historycy słupscy oraz przedstawiciele Muzeum Pomorza Środkowego, którzy zadeklarowali utrzymywanie stałych kontaktów ze szkołą.

W latach 1965 - 1966 zbudowano w Słonowicach ośrodek zdrowia. Kierownikiem została lekarz specjalista chorób wewnętrznych Teresa Rachańska. Zatrudnieni byli: referent gospodarczy - Franciszek Rachański, pielęgniarka dyplomowana - Grażyna Ocha oraz rejestratorka - Teresa Matejczuk. W 1967 roku pracę rozpoczęła tu także stomatolog Teresa Moniewska. W 1969 zatrudnione były pielęgniarki - Grażyna Drozdowska i Bogumiła Skępiec, stomatolog - Krystyna Bigott oraz felczer medycyny - Józef Poradziński. W 1969 roku ośrodek opuściła Teresa Rachańska, w roku następnym kierownikiem przychodni został chirurg ortopeda dr Zbigniew Jakubowski. Około półtora roku później odszedł on, a na jego miejsce przyszła Antonina Polkerna.

Od 1982 roku kierownikiem ośrodka był Maciej Bińczak. Po reformie w służbie zdrowia i powołaniu kas chorych kontynuował nadal swoją pracę w tym ośrodku, początkowo na subkontrakcie, a następnie na kontrakcie z Pomorską Kasą Chorych w Gdańsku. Pracował w Słonowicach dwadzieścia dwa lata, zmarł po długiej chorobie 2 lutego 2005 roku. Prowadzenie przychodni przejęła jego żona - Ewa Bińczak i pracowała tu przez siedem lat. Uzyskała specjalizację pediatrii. Następnie około roku przychodnią kierował i przyjmował pacjentów lekarz Wiesław Budzyński, po nim zaś przez pięć lat - lekarz pediatra Jerzy Kuczmą, który przybył do Słonowic wraz z żoną - pielęgniarką. Około 1978 roku odeszła pielęgniarka Drozdowska. Około półtora roku jako pielęgniarka pracowała Barbara Bernacka, a w 1984 roku zatrudniono pielęgniarkę Bożenę Sikorę.

Do sołectwa Słonowice należy również Dobrzęcino i jako sołtysi w dokumentach figurują: Teodor Misków (wymieniony w latach: 1951, 1953 oraz 1959), J. Konieczny (1954), Władysław Jopek (1973), Walenty Nowak (1984, 1990 - 1994) i Stefan Piszko (1994),

Eugeniusz Wiąkowski, Kobylnica

V OGÓLNOPOLSKI ZJAZD MASKOTEK

ROWY, 17 LIPCA 2011





AGROTURYSTYKA

CAMPING
POLE NAMIOTOWE
JAZDA KONNA
RYBKI, OFF ROAD

